MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY
KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK X. Nr. 43. WARSZAWA, 26 PAŹDZIERNIKA 1930 R. CENA NUMERU 80 GR.

TRAKTAT WERSALSKI

TRAKTATY zawarte w r. 1919, po ukończeniu wielkiej wojny europejskiej, różnią się zasadniczo od wszystkich traktatów, jakie w przeszłości podpisywano po ukończeniu wojen. Zasady ideowe, na jakich te traktaty zostały oparte, są bowiem konsekwencją pojęć i poglądów, jakie panowały w wieku XIX w umysłowości europejskiej. Podstawą tych poglądów były doktryny, wypracowane we Francji w końcu XVIII wieku, doktryny wynikające z wiary w naturalną dobroć człowieka, w automatyczny postęp ludzkości.

Jeśli szukać człowieka, który był tych doktryn najgenjalniejszym inicjatorem i wyrazicielem, to trzeba wymienić nazwisko Jana Jakóba Rousseau. Wcielały się one w życie europejskie poprzez Rewolucję francuską, zyskały popularność pod postacią hasła równości, wolności i braterstwa, miały swój kościół wojujący w organizacji wolnomularskiej...

Z ducha tej ideologji wypłynęły traktaty roku 1919. Twórcy ich głośno i uroczyście potępili do tego czasu obowiązujące zasady polityczne, odwrócili się tyłem do tysiącletniego doświadczenia ludów europejskich i postanowili oprzeć nowy układ stosunków światowych na nowych podstawach, a przez to zapewnić Europie i światu pokój wieczny.

„Przeżyta" doktryna głosiła, iż wojna jest wynikiem naruszenia równowagi politycznej, które z kolei jest spowodowane przez przemiany wewnętrzne państw i narodów, zmieniające ich dążenia zewnętrzne, ich siły i zasoby. Traktaty, zawierane po ukończeniu wojen, miały za zadanie ustalenie nowej równowagi politycznej, zgodnie z przemianami, jakie wojnę wywołały; gwarancyj zawartych traktatów szukano w nowej organizacji sił, zabezpieczających przywróconą równowagę, a więc w sojuszach państw, które tę równowagę narzuciły. Nie szczędzono wprawdzie przy zawieraniu traktatów haseł i zapewnień natury ogólnej, lecz nikt tego nie brał na serjo, była to retoryka piękna, a nieszkodliwa.

Inaczej stało się w r. 1919. Retoryka stała się rzeczywistością, a kryterja polityczne zeszły na plan drugi. Pokój miał być ostateczny i wieczny, a nowy układ stosunków w Europie miał być oparty na sprawiedliwości i na prawie. Gwarancją zaś nowego układu stosunków miało być poczucie moralne ludów, prawo międzynarodowe i instytucja, stojąca na straży wykonania tego prawa — Liga Narodów, którą słusznie, a może nie przypadkowo, umieszczono w ojczyźnie filozofa genewskiego, niewątpliwego ojca duchowego polityki nowoczesnej.

Twórcy traktatów z r. 1919 nie byli wprawdzie filozofami i doktrynerami jedynie. Byli oni jednocześnie politykami, odczuwającymi interesy realne swoich narodów. Lecz byli wszyscy wychowańcami epoki, przenikniętej ideami wielkiej Rewolucji francuskiej, a obok tego — co było ważniejsze — byli politykami demokratycznymi, mającymi za sobą parlamenty i zmuszonymi do liczenia się z opinją szerokich mas ludności, które były całkowicie pod wpływem prądów duchowych wieku XIX. Szczegółowa analiza traktatów z r. 1919 wykazuje, że ujawniła się w nich w wielu miejscach troska o realne interesy państw i narodów. Wystarczy przypomnieć dzieje walki, jaką stoczył Clemenceau o gwarancje, zabezpieczające granice Francji. Lecz, mimo to, można powiedzieć, że traktaty z r. 1919 są więcej dokumentami prawnemi, niż politycznemi, że są one podobniejsze do aktów rejentalnych, zawieranych między jednostkami, niż

do układów politycznych między państwami. Twórcy tych traktatów mieli bezwzględną wiarę w to, że rzeczy podpisane i stwierdzone przyłożeniem pieczęci będą wykonane. Nie myśleli natomiast dostatecznie o stworzeniu w nowym układzie europejskim gwarancyj realnych, zabezpieczających wykonanie i trwałość traktatów.

Najważniejszym z pośród traktatów r. 1919 jest Traktat Wersalski, dał bowiem nowe granice i nową sytuację polityczną Niemcom i powołał do życia niepodległe Państwo Polskie, oparte o morze Bałtyckie

Niemcom narzucili zwycięzcy warunki bardzo ciężkie — okroili ich terytorjum, postawili je poza nawiasem rodziny narodów cywilizowanych, nie dopuszczając do Ligi Narodów, nałożyli na nie ogromne odszkodowania, ograniczyli ich siły zbrojne... Do ciężaru tych warunków nie zostały dostosowane gwarancje realne, że będą wykonane. Gwarancje te powinny były polegać na odpowiedniem osłabieniu wewnętrznem Niemiec i na daniu takich warunków terytorjalnych i politycznych państwom powstałym lub zwiększonym na koszt Niemiec, by były w stanie przeciwstawić się ich dążeniom odwetowym. Można było rozluźnić jedność wewnętrzną Niemiec, opierając się na doświadczeniu z przeszłości, które mówi, że okresy rozbicia wewnętrznego Niemiec były zawsze okresami największego spokoju w Europie. Jeśliby zaś, biorąc pod uwagę tendencje nowoczesnego rozwoju w Europie, nie wierzyło się w możność zniweczenia dzieła Bismarka, to trzeba było z jednej strony nie przeciwstawiać się konieczności zjednoczenia narodu niemieckiego i nie powoływać do życia tworu sztucznego, okrojonej Austrji, zaś z drugiej odłączyć od nowych Niemiec to wszystko, co odłączyć było można, zwłaszcza na wschodzie, a więc nie pozostawiać przy nich Prus Książęcych (Wschodnich) i części Górnego Śląska. Kraje te nietylko stanowią potężne *places d'armes* dla armji niemieckiej na wschodzie Europy, lecz są, będąc w posiadaniu niemieckiem, ciągłą dla nich zachętą i podnietą do dążeń na wschód. Odebranie tych prowincyj Niemcom nie zwiększyłoby uczucia krzywdy i pragnienia odwetu w ich umysłach i sercach, byłoby natomiast mocną i pewną gwarancją, że obalenie przez Niemcy traktatów byłoby o wiele trudniejsze, jeśli już zgoła nie nieprawdopodobne. Rozbicie jedności niemieckiej głosili nacjonaliści francuscy: gdyby się to rozbicie było udało, to i niepodległa Austrja miałaby sens i gwarancję trwałości. Program okrojenia Niemiec na wschodzie, przy jednoczesnem oddaniu im Austrji, postawił był w znanym memorjale, ogłoszonym w r. 1917, Dmowski. Twórcy traktatów z r. 1919 nie poszli ani za temi, ani za tamtemi wskazaniami. Pozostawili w środku Europy zjednoczone Niemcy, a równocześnie utworzyli zagrożoną przez nie Polskę w granicach i warunkach, które niezmiernie utrudniają tej Polsce obronę nowego, powojennego porządku rzeczy w Europie i zabezpieczenie swego oparcia o morze, co jest — jak wiadomo — warunkiem istnienia Państwa Polskiego.

Traktaty z r. 1919 są wynikiem zastosowania zasad, sprzecznych z doświadczeniem politycznem ludzkości i niezgodnych z ustalonemi drogą empiryczną prawami, rządzącemi rozwojem ludzkości; opierają się one na ideologji wieku XIX, od której odwróciły się już najwybitniejsze umysły w Europie i która traci swe panowanie nad masami... Gwarancje trwałości tych traktatów są iluzoryczne i papierowe, nie oparte na realnym układzie sił i na realnej sile tych, którzy w ich utrzymaniu są zainteresowani...

Życiem ludzkości, podobnie, jak życiem fizycznem, rządzą tak samo niewzruszone i żelazne prawa, których bezkarnie przekraczać nie wolno. Podobnie jak nietrwała musi być budowa materjalna, wzniesiona z pominięciem lub nieznajomością tych praw, tak samo nietrwałym musi być układ stosunków politycznych, nie liczący się z prawami — jeśli się tak wyrazić wolno — fizycznemi polityki. Nowy układ polityczny w Europie nie został przeprowadzony konsekwentnie i nie zawiera w sobie naturalnych i realnych gwarancyj swej trwałości. Oto dlaczego w samej istocie traktatów z r. 1919 tkwią zarodki ich słabości, oto dlaczego w dziesięć lat po ich zawarciu odczuwać się dają wstrząsy, rodzące obawy nowej wojny. Oto dlaczego w umysłach polityków realnych rodzi się pytanie: czy da się naprawić podstawowe wady traktatów, czy da się utrwalić nowy powojenny układ europejski bez nowej katastrofy wojennej?

STANISŁAW KOZICKI

Z DZIEJÓW PAMIĘTNEGO „ZETU"

(Ciąg dalszy)

ZJAZD był postanowiony na 13 lub 14 stycznia — wyjechaliśmy 12 stycznia rano o 6-tej — w Strzemieszycach przy dzwonku stacyjnym miał stać człowiek z przepustkami dla nas 3-ch, Harusewicz jechał w innym wagonie. W Strzemieszycach wyskoczył po te przepustki Antek Kośmiński, tymczasem nikogo nie było, a nie miał już czasu wskoczyć do nas do wagonu, pozostał w Strzemieszycach, myśmy zaś pojechali obaj z Kochanowskim do granicy. Tam, nie mając przepustek, musieliśmy symulować, że przyjechaliśmy tu do granicy w okolice do znajomych. Jednak żandarmi po jakimś czasie zaczęli nas przypierać do muru, skąd jesteśmy, do kogo przyjechaliśmy. Musieliśmy zmyślić, że do p. Rykowskiego, ojca naszego kolegi, który o niczem nie wiedział, że koni nie wysłano po nas i t. d. Tymczasem widzieliśmy, jak Harusewicz siedział już w wagonie, odjeżdżającym do Krakowa.

Opowiedział nam potem w Krakowie, że wcisnął rubla w łapę żandarmowi i ten go puścił bez przepustki. Musieliśmy obaj z Kochanowskim, wyrzuceni przez żandarmów koło 4-ej popołudniu z dworca na granicy, pójść piechotą, brnąc w śniegu, lasem do gminy Niemcy koło granicy i ledwie w nocy dobrnęliśmy do owego p. Rykowskiego, któregośmy wcale nie znali. Ten jednak ujrzawszy dwu zmarzniętych studentów, po ojcowsku się nami zajął, ugościł, a że był starym powstańcem z 1848 r., domyślił się, że to jakaś konspiracyjna sprawa i na drugi dzień przepustki na Modrzejów nam znalazł (na Granicę wobec znających nas żandarmów już nie można było). Odnaleźliśmy w Strzemieszycach Kośmińskiego i z nim pod noc do Krakowa udaliśmy się. Było to w nocy z 13 na 14 stycznia 1887 r. W Krakowie rano 14 go zeszliśmy się w umówionem przez Zygmunta Balickiego miejscu, to jest w mieszkaniu jego krewnego Aurelego Balińskiego, powstańca i poety, na ulicy Batorego nr. 24 czy 26, parter. Trzeba było wobec policji austrjackiej, która o wszystkich poruszeniach młodzieży donosiła policji rosyjskiej, także b. ostrożnie w Krakowie postępować. To też nie chodziliśmy na żadne większe zebrania młodzieży, ani do Czytelni Akademickiej, żeby uwagi nie zwracać. Na Zjeździe tym znaleźli się oprócz nas 4 ech (z Harusewiczem razem, który reprezentował młodzież czerwieńszą), ze Lwowa Zygmunt Seweryn (stud. politechn.), z krakowskiej młodzieży — Jan Homolicki i Pietkiewicz (imienia nie pamiętam — obaj z zaboru rosyjskiego), z Instytutu Puławskiego — Jackowski, zdaje się na imię Aleksander i od zagranicznej młodzieży — Zygmunt Balicki (pod nazwą Karczewskiego, gdyż był przedtem wydalony z Austrji). Ta dziewiątka była też zaczątkiem Z-etu Balicki przedstawił już prawie gotowy projekt Statutu nowego Związku Młodzieży Polskiej, który, dyskutując miejscami nawet bardzo zajadle, gdy chodziło o działania społeczne i narodowe, po dwuch dniach przyjęto i zaraz go na kilka egzemplarzy na cieniutkim papierze przepisano dla przeniesienia zagranicę. W pierwszym artykule Statutu organizacyjnego, oczywiście tajnego, pamiętam, był taki ustęp mówiący o zasadniczym charakterze Związku: „Z. Mł. P. dąży do niepodległości Polski i stoi na gruncie sprawiedliwości politycznej, narodowej i społecznej".

Poczem szło w następnych artykułów szczegółowe wyjaśnienie, co Związek ma rozumieć pod tą sprawiedliwością polityczną, narodową i społeczną. Pojęte to było w zakresie bardzo szerokim, oczywiście teoretycznym, gdyż warunki ówczesne nie pozwalały nawet w wielu punktach i marzyć o realizacji współczesnej tej sprawiedliwości politycznej, narodowej i społecznej. Chodziło tutaj o wytyczne idealne, a mniej praktyczne, chyba w odniesieniu do traktowania innych narodowości, wyznań, klas społecznych w stosunku do sprawy polskiej — obecnie, i w przyszłości w Polsce niepodległej.

Gdyśmy te artykuły układali w stosunku do Polski niepodległej, to wydawały się one nam wówczas, nieabstrakcją, ale czemśżywem, żyjącem, takiem co lada chwila się może spełnić, że jest to jakby nowa Ewangelja narodowa dla Polski, którą mamy odtąd wszystkim opowiadać -- a zwłaszcza wśród młodego pokolenia. Balicki, który te punkty sformułował i w konsekwentnym logicznym związku je nam wyłożył, wydawał się nam jakimś prorokiem narodowym, które na nowe życie nas wprowadza. Nie pamiętam później w życiu chwili wznioślejszej, chyba dostanie się — 1891 r. do X pawilonu Cytadeli. Czułem, że przeżywam jakąś niezmierną historyczną chwilę, która się więcej nie powtórzy już taką, jaką wówczas była, że staję się współuczestnikiem jakiegoś wielkiego narodowego czynu, który ma przerodzić cały naród. Biła ogromna siła i powaga z tych artykułów Satutu Związkowego, które mówiły, jak ma młodzież polska przeobrazić dotychczasowe swe życie w służbę stałą narodowi, jak ma się do tej służby teraz wśród studjów przygotowywać i co ma już teraz z tej służby spełniać.

Było tam doskonałe psychologiczne ujęcie duszy młodej, z jej pragnieniami i tęsknotami, i wciągnięcie jej w surowe jarzmo obowiązku pracy dla tej przyszłej Polski Niepodległej, która wysiłkami naszemi musi stanąć. Były to poprostu nakreślone i wytyczone kanony, według których mieliśmy dalej żyć i pracować i to w wyrazach nie patetycznych, tkliwych, napuszonych, lecz w formie zwykłych rozkazów, jakby wojskowych. Stosunek do kolegów, bliższych, dalszych, do społeczeństwa własnego w jego różnych warstwach, do społeczeństw obcych, żyjących w Polsce — stosunek do wiary, do moralności — wszystko tam było poruszone i określone w sposób kategoryczny, rozstrzygający, bez pozostawiania pola do wątpliwości — pod kątem widzenia służby dla sprawy polskiej. Określone i wyznaczone były wyraźnie tereny pracy wśród młodzieży własnej, starszej, młodszej, obcej narodowo, wśród włościan, wśród robotników, wśród inteligencji i jej różnych zawodów, jak zajmować placówki służby na tych terenach, ażeby sprawie narodowej jaknajskuteczniej służyć.

Cała struktura organizacji miała charakter służbowy, prawie że wojskowy — stąd i wprowadzenie celowe hierarchji organizacyjnej, która swoją tajemniczością i dyscypliną musiała pociągać i olśniewać młode umysły świeże, niezblazowane, które takiej hierarchji łaknęły i chętnie jej zwykle posłuch dawały. Na czele stał Centralny Komitet Z-etu dla wszystkich grup lokalnych uniwersyteckich, czy innych wyższych szkół akademickich, które wybierały też oprócz tego swoje lokalne zarządy. Centralny Komitet, inaczej zwany Centralizacją Z-etu (na podobieństwo Centralizacji Emigracyjnej swego czasu), był wybierany na Centralnym rocznym Zjeździe delegatów wszystkich grup lokalnych akademickich, wysyłających po jednym 2-ch lub 3-ch od tych grup, zależnie od ilości członków danej grupy. Tylko jeden członek Centralizacji był jawnym i jawnie wybieranym — reszta ich, (a było ich 5-ciu) to jest 4-ch w tajnem głosowaniu na ręce jawnego członka, najpierw wybieranego, który zawiadamiał poufnie owych 4-ch o ich wyborze do Centralnego Komitetu.

Ta zasada tajności przy wyborach była utrzymana i przy wyborach w Komitetach lokalnych grup akademickich i niższych, ażeby ochronić i zapawnić lepsze bezpieczeństwo organizacji od wykrycia przez policję. — Istotnie ta metoda dała dobre rezultaty — i policja austrjacka, rosyjska i pruska nie dotarły nigdy do sedna organizacji, pomimo że wpadły jej w ręce takie lub inne fragmenty organizacyjne. Pamiętam, że gdy siedziałem w 1891 r. w Cytadeli Warszawskiej, aresztowany przez żandarmerję rosyjską na polecenie Departamentu policji z Petersburga, do której znów wpły-

nęło doniesienie na mnie austrjackiej policji z Krakowa, to prowadzący wówczas śledztwo kapitan żandarmerji von Płotto (późniejszy generał, który następnie zginął od bomby w Radomiu), czytając mi te doniesienia policji lub sprawozdania z Sądu w Krakowie, dotyczące sprawy kolegi Machajskiego, brata Z-etowego, o przygotowywaniu wraz ze mną pierwszego obchodu 3-go maja w Warszawie (takie sprawy wówczas były wysoce karygodne politycznie) nie mógł nic konkretnego zarzucić, bo nie wiele wiedział o Z ecie i jego organizacji, choć mieliśmy wówczas w kwietniu 1891 tajny zjazd prowincjonalny Z-etu galicyjskiego w Krakowie, pod okiem policji krakowskiej, czującej, że coś się robi, ale nie wiedzącej ściślej, kto i co robi.

Zasadą było organizacyjną przy formowaniu władz i ustalaniu stosunków organizacyjnych w Z-ecie, że każdy członek Organizacji ma wiedzieć tylko tyle o sprawach i stosunkach organizacyjnych, zwłaszcza personalnych, ile dla sprawy jest potrzebne — nie więcej, i znać tylko tych, z którymi musiał mieć bezpośrednie stosunki. To chroniło w pewnym stopniu od niepotrzebnego gadulstwa, mogącego dojść i do policji, a przy ewentualnych aresztowaniach znacznie zwężało krąg aresztowanych, bo znali nie wielu innych członków.

(Dok. nast.) STEFAN SURZYCKI

REWJA

Et puis, ce n'est pas encore ça. J'ai besoin d'écreser quelqu'un, de dominer, comprends — tu? autrement une angoisse me saisit: je ne suis même plus sûr que j'existe... Tandis qu'en opprimant, je me sens vivre: J'écrase, done je suis. D'avoir devant moi un individu, qui perd contenance, qui se trouble, ça m'exalte. J'éprouve un sentiment plein da force et de courage, qui m'est necessaire pour lutter... Qu'est-ce que tuaveut? je ne suis pas un fort, moi. Je sais que j ene vaux pas grand'chose. Alors, si, par malheur, j'arrivais á douter de moi!... („Vie Prisienne", z monologu arrywisty).

DWA są główne typy „sanacji": Racjonalna, czyli zrozumiała, zrozumiała, że aż strach — i irracjonalna, czyli niepojęta. Tylko ta druga jest interesująca. Cóż zagadkowego jest w tem, że się ludziom podobają posady, synekury, awanse, immunitety, koncesje, konjunktury, splendory, rewerencje, rauty, strzępy glorji, ocierania się?... A pozatem, cóż dziwnego, że groźby, napaści, strachy, redukcje, przeniesienia wywołują odpowiednie skutki?... *Sanatio aeterna* — i terror. Nieciekawe to wszystko!

Ale ciekawy jest fakt, dlaczego i tacy, co ani nie mają bezpośredniego powodu do obaw, ani żadnego interesu osobistego, wciąż jeszcze kręcą się wokół „sanacji", jakby zaczarowani graniem Chochoła? To jest przecież ogromnie zajmujące zagadnienie, jakim sposobem grupa, która nie wniosła w życie narodowe żadnego programu ideowego, o której tylko dlatego nie można powiedzieć, że jest wszystkiem, bo intelektualnie jest niczem, która walczy nie z jakąś częścią narodu, ale z wszystkiemi niemal jego organizacjami politycznemi, wciąż jeszcze zdoła utrzymywać się na powierzchni? I to grupa, której jedynym znaczącym wkładem w życie polskie jest stanowcze obniżenie moralności politycznej, niebywałe, niesłychane wprost obniżenie języka publicznego? To przecież zastanawia! Przyjdzie historyk i będzie tworzył zdaleka swoje koncepcje. A przecież teraźniejsi jedynie kompetentni są zrozumieć należycie teraźniejszość. Oto parę typów „sanacji" bezinteresownej, z własnej obserwacji.

I

Łanie i żmije: Jak państwo pamiętacie z dzienników, jednej damie piszącej ukazał się raz w lesie w Druskienikach ów legendarny „Święty Jeleń"... Co tam dalej było, niewiadomo. Ale wiadomo, że święte stado rozsypane jest obficie po Polsce.

Kobieta — Polka... Pomyśleć: Polka — a do tego kobieta!... Jak to wzniosłe, jak szlachetnie!... I miałażby taka Istota wyjątkowa, nie ocenić tego, który jest w Polsce — Jedyny?...

Przepraszam Panią, a Błękitne Armje Hallera, a Lwów, a Rozwadowski, a cały naród w r. 1920, a Dmowski i Paderewski w Wersalu i przedtem, a ..

Nie wolno mówić dalej. Kobieta Polka nie chce słyszeć o niczem więcej, lawy entuzjazmu zasklepiają się, urocze błyski zachwytu w oczach gasną. Serce Kobiety — Polki okazuje się chłodne jak kamień. Jechałem przed paru laty w towarzystwie jakichś dystyngowanych socjalistek, całkiem sobie *embonpoint*, pulchnych, łagodnych, akcent wileński, walizki eleganckie z pierwszorzędnej skóry — słowem typowy radykalizm polski (obie napewno Frakcja Rewolucyjna, z pp. Moraczewskim wł. real., Klemensiewiczem wł. dóbr ziemskich i t. p.). Rozmawiało się całkiem sympatycznie o tem i o owem, wkońcu jakoś wspomniało się o tym biednym Iwaszkiewiczu, wtedy właśnie dogorywającym, który we Lwowie zyskał sobie tyle popularności. Natychmiastowa zmiana intonacji. Łagodnie pulchne, różano-rumiane damy zmieniają się na obliczu swojem, i z łani — żmijska; jakaś irytacja, zacięte usta, bladość tajonego gniewu, jakieś mętne insynuacje, słowem, coś nieokreślonego a zaciekłego, z czego wynikło, ni mniej ni więcej tylko to, że ten Iwaszkiewicz to była jakaś podejrzana figura. Ależ o co właściwie? Nie, nic konkretnego, jakieś wykręty, jakieś słychy, jakieś „powiadają że"... Cóż więc? Znowu nic.

Ta nieokreślność, a zarazem zawziętość podejrzenia, — wysoce charakterystyczna. Tak było całą wojnę, od samego początku. Coś się przylepiło do II Brygady, coś takiego, że znam wypadek, iż w jednym szpitalu żołnierze I Brygady woleli wigilję Bożego Narodzenia spożyć raczej z żołnierzami obcych armij, niż z żołnierzami II Brygady! Lwów 1918, powrót legjonistów z Huszt, całe miasto idzie na kolej witać, zapytanie zwrócone do oficera I Brygady — „idzie Pan na kolej"? — „Co, ja mam tych batiarów witać"?... Batiarów? Skąd, dlaczego, czy może, przejściem na tamtą stro-

nę, wyrzekli się niepodległości?... Niewiadomo. Rok 1918, przyszły do kraju wieści o Kaniowie, wiosna na świecie, wiosna w sercach odmarzających z „sojuszu“ ohydnego i złowrogiego, tłumy na ulicach radują się głośno; pewna pani, jedna z bliskich Wielkiego Ołtarza, z rozrzewnieniem: „A jednakże, pokazało się, że to nie Austrjacy“... — „A widzi Pani“... — Ale w tej chwili skurcz zastanowienia ściera z twarzy rozrzewnienie jak gąbką, odzywa się głos sumienia: „Ale za wiele tych manifestacyj, kto wie, co się za tem kryje“... Ha, kto wie, co się kryje za bohaterskim odruchem żołnierza, idącego w nieznaną, sowiecką Rosję, byleby tą okrężną drogą, z pomocą jedynych prawdziwych sojuszników, wrócić do Polski!... Tego nie chciało pojąć serce tej kobiety, zresztą kobiety o naprawdę dobrem sercu! Coś się rozłamało w niektórych sercach polskich. I zdumiewającą jest ta psychoza zimnej podejrzliwości u osób zresztą z natury ciepłych.

Nie chciało się wierzyć w to, żeby naprawdę tam było źródło tego mroźnego wiewu, który idzie przez Polskę, od którego serca wielu dobrych Polaków zamarzły na krew, rany, śmierć, heroizm, zasługi, dobrą wolę wielu innych Polaków. Nie chciało się temu wierzyć, brało się to za nadmiar gorliwości otoczeńców, *plus catholiques que le Pape même*... Dziś po tylu latach wiemy już, skąd to szło!... Dalibóg. Żal, że tyle dobrych uczuć, tyle patrjotyzmu tylu osób zlało się w jedno ze strugami jadu. U wielu osób nastąpiło jakby jakieś rozszczepienie psychiki, jakby wydzielenie jakiejś jej części z reszty: W jednej części serca panuje dobroduszny patrjotyzm, nawet tkliwość jakaś — w drugiej sam gniew, sam żelazny chłód wobec wszystkiego, co—nie przeciw Piłsudskiemu jest, ale co poprostu nie jest Piłsudskim, nie jest nim samym, albo przynajmniej jego przybliżeniem, adjutanturą, przedpokojem, emanacją, eonem (Rydz, Sławek, Dreszer, Wieniawa i t. d.)...

I właśnie nikt tak głęboko jak kobiety, nie dał sobie zaszczepić tej drugiej duszy pełnej jadu. Tutaj święci triumfy konkretywizm i a-racjonalizm skrajny dusz kobiecych. Konkretywizm — bo nie potrzebują usprawiedliwienia osoby przez program ideowy; — osoba zastępuje wszystko; a-racjonalizm, bo wszelkie wątpliwości o godziwość różnych faktów są zgóry wyłączone. Nikt tak jak kobiety nie wprawi się w rozterkę, której powody racjonalne są równe zeru — albo raczej nieskończenie ważne: Skoro idzie o jedyne miejsce pod słońcem dla Wybranego! [1]).

II

Oprócz bab płci żeńskiej, trzeba *notabene* liczyć się z takowemi płci męskiej. Są to osobniki, którym się zdaje, że kochać i wielbić jednego, znaczy odrazu nienawidzieć innych.

III

Uczciwcy, automatyczni. Oto osoba znowu inaczej wierna. Jej pierwszy mąż był w I. Brygadzie. Że ten biedak zginął dla Polski, a tu przecież o Polskę idzie, żeby nie wycieńczać jej najlepszych energij, nie poniżać jej do poziomu „narodu idjotów“, — to już nie trafia do głowy Tak samo inni: ten poczciwiec miał tam syna, ten brata i t. d. Zaufali za pośrednictwem swoich. Ściśle biorąc, tacy prywatnych autorytetów ludzie są pożyteczni w społeczeństwie. Dobrze władcom jest mieć tak bezwzględnie pewnych, którzy kapitału zaufania, raz umieszczonego, nie wycofują wbrew wszystkiemu. Pech w tej lokacie.

IV

Teozofowie, pacyfiści, hygieniści, spirytyści, fabrykanci wędlin, fabrykanci butów, producenci, konsumenci, filateliści, *footbau*'ści, okuliści, literaci, malarze, pantoflarze i rozmaici ludzie jednego interesu: Kto ma rację, jak wybierać, jak tu się wyznać w tej nieznośnej gmatwaninie politycznej? Ci ludzie wogóle nie lubią zastanawiac się nad tem, co nie dotyczy ich specjalności, biorą tylko to, co im reklama wcisnęła w mózg. Używają tylko cykorji Francka i głosują na chamaka. „Sanacja“ z wygody. Ale między intelektualistami sanacyjnymi są jeszcze inne kategorje do wyróżnienia.

V

Konfusionskop'y. Np. pacyfiści za soldateską! (Idź złoto do złota!..) Podobne możliwości możliwe są chyba tylko w Polsce, w tym narodzie... paradoksów. Stan wewnątrz jest, zdaje się taki: „Duch wieczny rewolucjonista.. Kruszenie form... Ruch... trzeba się ruszać... niech się coś rusza... 1905... 1914... 1926... Dużo ruchu... Z ruchu muszą się wylęgnąć ideały... Kto się rusza, ten jest idealistą“. Trudne do uwierzenia?... Trudne — ale jeśli nie tak, jest to napewno jakoś podobnie, żeby od siebie popróbować sformułować, co tacy mają na myśli. Wszystko, co jest coś warte, rodzi się z ruchu. Zastój najgorszem złem. Piłsudski robi ruch, *ergo*... Ci ludzie nie zdają sobie sprawy, że ruchy bezkierunkowe, łamane, zygzakowate, drgawkowe, są ruchami nie życia, ale neurozy. Polska, z wiekiem przeszło napięcia przeciwnarodowego za sobą, szczególnie jest podatna dla takich witalistów ruchu.

VI

Są i witaliści siły. To ci, którzy, wbrew Katonowi, naprawdę wierzą, że tylko tam, gdzie jest siła w społeczeństwie, tam zarazem jest umieszczona racja bytu społeczna — tam musi być ukryty jakiś tajny Rozum społeczny. Jest w tem jakaś mistyka, w guście Heglowskim. Odpowiedzieć im można myślą poety: Że łatwo zawinić może ten, kto wolę Nieba chce wyczytać z faktów zdarzonych — przeciwnie, że należy ją według praw sumienia—czynić. Pozatem—czy to siły prawdziwe?!... Ci, całkiem świadomie, przesypią się kiedyś, jak piasek w klepsydrze.

VII

Tych wszakże odróżnić trzeba od witalistów powodzenia, szczerych idealistów powodzenia, tych, którzy, bez żadnego powodu materjalnego, tak, sami od siebie, z natury, z serca, „zwycięzców wielbią i triumfatorów“, jak to o swej osobie ogłasza w jednym wierszyku p. H. L. Morstin...

Jest to ideologja „naszych górą“. Którzy „nasi“? Ci, co górą? Nie trzeba zaraz podsuwać tutaj

[1]) W jednym domu panienka ze zgorszeniem stwierdza, że jej koleżanka ma broszkę z Kościuszką. „A co“? — Powinien być Piłsudski. Ta mała tylko naiwnie wypowiedziała, co czuje się w tem środowisku.

interesownych zamiarów! Można być interesownym całkiem bezinteresownie. Z czystego szacunku dla fortuny. Tu dyskusji niema, bo to kwestja gustu.

VIII

Przeciwieństwa dotykają się. Proszę zauważyć: Jedni, ci witaliści ruchu, są za Piłsudskim dlatego, że im symbolizuje coś rewolucyjnego, romantycznego, sympatyzują z nim, jako z pierwiastkiem niepokoju i jego władzę traktują jako coś zupełnie odmiennego od tradycyjnych rządów. A znów inni są za Piłsudskim dlatego właśnie i jedynie, że ma władzę. To nie są witaliści, to są obywatele kamiennie lojalni. W tej warcholskiej Polsce jest takich ludzi więcej, niż można było przypuszczać. Doktrynerzy porządku, gubią własną doktrynę.

IX

Ale jeszcze o witalistyce: Witaliści siepania się. Są typy, którym dobrze tylko w atmosferze rozruchu, terroru, awantury. Łatwy rycerz, zabijaka na froncie cywilnym, wdzięczny jest za robotę, za możność straszenia, rozbijania się, rozpierania się. Rozpieram się, więc jestem. Jedni używają swego temperamentu całkiem naiwnie. Inni dorabiają do tego jakąś tam historyjkę witalistyczną o „tężyźnie rasowej“ tej grupy, o „nowej szlachcie“ i t. p. Sarmackie wąsy—oto jest dla tej grupy jej tajna radość. A ów styl, słynny już na całą Europę, jako polska specjalność — (miał rację ten żydowski dziennik, który zauważył, że tego rodzaju wymowy politycznej nie znają dzieje) — dla nich ten styl nie jest emetykiem.

X

Z prawej strony dotyka się tej kategorji inny sarmatyzm. „Matka — Billewiczówna z domu“ — (jak to emfatycznie rozgłosił srogi b. socjalista i jeszcze sroższy ułan sztabowy p. W. Sieroszewski) — oto jest dla pewnych umysłowości argument dostateczny—*efficiens causa*, bebeowania Ale czy idjotów kompletnych włączać w ten przegląd? Czy nie jest to ułatwianiem sobie satyry? Nie robię zresztą satyry. Rozróżniam odcienie sanacyjne, chcąc je pojąć.

XI

Możeby jednak w powyższym związku wymienić metafizyków (wyznawcy Absolutu[3]), środkowo-galicyjski prof. gimn., odkrywca sensu liczby 44 i t. p.).

XII

Od lewej strony sąsiadują z bałagułami witaliści innego znów pokroju. Ci tak samo zadowoleni są z możności siepania się, rozpierania się, ale już na innym podkładzie to zadowolenie, nie tyle zawadjactwa, ile gniewu. Tym imponować musi człowiek, któremu udała się „bajeczna karjera“, on spełnia ich tajne marzenia o *Übermensch'u*, który pozwolić sobie może na to, żeby dać w pysk społeczeństwu, *naplewat'* od serca w ten rodzimy „śmietnik"!... (O Polsce jako o śmietniku, *vide* „Gen. Barcz" p. Kadena - Bandrowskiego). Ta kategorja pała anarchiczną nienawiścią do wszelkiego ustroju państwowego, do wszelakiej władzy — a na plecy władz polskich wspina się tylko poto, żeby szkalować zarówno władze, jak i całe społeczeństwo polskie, począwszy od inżynierów i księży, a skończywszy na robotnikach i socjalistach (*vide*: „Czarne Skrzydła“ p. Kadena - Bandrowskiego). Tylko w takiem środowisku możliwe jest, aby przy jednym knajpianym stole kamratowali stale i bez żenady, ku podziwowi cudzoziemca, wysocy oficerowie z pacyfistami dwuznacznymi i niedwuznacznymi bolszewizantami. Tak właśnie wygląda dekadencka bohema, kiedy się dorwie do panowania. Raz nareszcie móc figlować bezkarnie, móc pogardzać, móc wypowiadać się... Sympatyzują z nią typy podobne.

XIII

Bliską jest taka elitka (która właściwie jest już „sanacją” nie bezinteresowną) swoimi nastrojami grupie następnej: gawiedzi i kabaretom. Gawiedź zawsze cieszy się, kiedy ktoś jest poniżony, sponiewierany. Oczywiście ktoś, kto do tej pory był czemś, kto miał jakieś znaczenie, jakieś w społeczeństwie stanowisko. Gawiedzi nie może dolegać widok rozbijania i niszczenia stronnictw, choćby demagogicznych — bo wszelkie stronnictwa przedstawiają bądź co bądź jakąś decyzję i dyscyplinę, więc jakąś wstrętną abstrakcję. Ilu jest ludzi o psychice gawiedzi pomiędzy dyplomowanymi? Ilu dowcipnisiów o umysłowości błazeńskiej, dla których najdowcipniejszy jest zawsze ten, kto ostatni wymierzył kopniaka?

XIV

Od gawiedzi odróżnić trzeba lud. Nasz lud ma zdrowe instynkty. Ma instynkt żołnierski. Poddawajcie mu przez wiele lat nazwisko, obraz, legendę człowieka w mundurze — a cóż dziwnego, że wytworzy się serdeczne przywiązanie. Tu zaliczyć trzeba i drobniutką dziś już garskę młodzieży, także i liczniejszą bez porównania młodzież pod siwym wąsem i łysiną, także i wiele kobiet z dyplomami uniwersyteckiemi (ale to nie te z I i II kategorji; ci tutaj nie wiedzą o nagonce i nienawiści. Wielu ludzi uczciwych nie może uwierzyć, żeby naprawdę tak było).

XV

Biedny człowiek. Kto nie mógł znaleźć sprawiedliwości w urzędzie, kto został urzędowo wyzyskany, kto w tej naszej demokratycznej i konstytucyjnej Rzeczypospolitej po sto razy poczuł się poza prawem i społecznością — ten ogląda się za mocnym człowiekiem, za jednostką lepszą od prawa. Że łamiąc prawo, wyginając sumienia urzędników, dyssolwując kontrolne ciała w państwie, nie prowadzi się do panowania sprawiedliwości, o tem już ci biedni nie wiedzą. „Sanacja“ z rozpaczy.

XVI

Tu z kolei przedstawić należy szczyt kultury zabłąkany w „sanację“. Intelektualista, wybitny uczony, niepokalanej cnoty człowiek, filozof, sceptyk, który rozcina włos na czworo, w pewnej chwili ulega tej fatalności sceptycyzmu, że prowadzi on do desperackich rozstrzygnięć w jakimś momencie. Ten człowiek bebeuje ze zwątpienia. Ludzi tego typu jest więcej, idą za „sanacją“, bo z jakichś względów nie odpowiadają im stronnictwa prawicy, a lewicy nie chcą, idą, ale idą z niesmakiem. To ciekawe, że wszystko z osobna im się nie podoba, ale całość jakoś przełykają. Jak się to dzie-

[3]) Nie kto inny tylko p. senator Strug na własne oczy widział „Absolut“. *Ipsissimum verbum*. Okazało się jednak, że pod tą piękną srebrną pokrywą znalazła się odpowiednia doza — relatywizmu...

je? Oto „sanacja“ najmniej pojęta — bo nieraz tu inteligentnych i wysoce inteligentnych widzimy. „Sanacja“ od biedy...

XVII

Zaraz obok znajdą się natręci: jacyś ideologowie, jacyś syndykaliści, teoretycy „zawodowego ustroju państwa“ itp. Ci myślą — i ci chcą wmówić w „sanację“ jakiś program, insynuować jej swoją ideę, przylepili się do niej w dobrodusznem przeświadczeniu, że mają do czynienia z czemś, co da się użyć ideowo. Nazywają się „obozem rewolucji majowej“ — tak jakby takie na większą skalę „Hajże na Soplicę!“ mogło mieć pretensje do tytułu „rewolucji“.

XVIII

Ale kiedy Frakcja Rewolucyjna gorozi rewolucją, to dobrze robi ks. Radziwiłł, że się jej nie boi, idąc razem z nią pod jedną komendą. Bo ci ludzie, którzy tam z trybuny odgrażają się, to stuprocentowa blaga inteligencka, to salonowe, najtypowsze kawiarniane, burżujskie, dyletanckie zrewolucjonizowanie. Tych ludzi nic, albo mało co, obchodzi realny los robotnika. Im się podoba... Ruch (por. V, *Konfusionskopf*'y). Tacy ludzie wprawdzie nie zrobią rewolucji, — im to ani w głowie! — ale zato ułatwiają ją: swoją nicością.

XIX

W każdym razie szczerze ideową grupą sanacyjną są cyganie: W imię ekspansji kulturalnej smorgońskiej.

XX

Żydki sanacyjne kołacą, zdaje się, do „sanacji“ racjonalnej. Pozatem jednak muszą płakać rzewnie tradycje pachciarskie. Jak są ludzie jednego interesu, tak są i ludzie jednej obawy. Ks. Swiąder boi się tylko Boya i p. Pawła Hulki Laskowskiego; Boy i p. Paweł Hulka Laskowski boją się tylko ks. Świądra i więcej nikogo, a znów ci boją się wielkich panów, ci chłopów, ci endeków, ci bolszewików, którzy (o czem wątpić nie godzi się) zainstalują się w pewnych budynkach przy pierwszej zmianie lokatorów. Na pociechę im wszystkim jest na horyzoncie jedna osoba, przestraszająca ich samych, która, — jak to oni sobie w swoich głowach wykombinowali — do tego tylko ma służyć, ażeby od nich odganiać ich osobiste strachy. „Sanacja“ ze strachu. Że możliwem jest, żeby pod jednym dachem mieć „Lud Katolicki“ i „Wolnomyśliciela Polskiego“ — na tem właśnie polega cała ta magiczna sztuczka, cały dowcip belwederski. Potężną może być siłą atrakcyjną tajemniczość programowa. Ale jak długo może to trwać? *Ex nihilo nihil.*

XXI

Jeszcze dwie kategorje, obfite ilościowo:

Wychowańcy „Kurjerka“. Właściwie jest to cenne w początku, kiedy się idzie za dyrektywą swojej gazety. Trudno o wszystkiem dowiadywać się samemu, samemu rozstrzygać o wszystkiem, oddaje się to swoim redaktorom, którym się ufa. Tembardziej ufa się „Kurjerkom“, jeśli od czasu do czasu napiszą coś słusznego i patrjotycznego. Nie każdy też wie o tem, co fama niesie między wtajemniczonymi, że taki kurjerek ma w swojej załodze dwie ekipy: jedną „sanacyjną“, i drugą, z endeków i endekoidów. Teraz pierwsi piszą o polityce bieżącej w Polsce, drudzy o płaczu krokodylów w Ameryce Południowej, ale każdej chwili mogą tamci przejść do polityki polskiej, a ci do krokodylów. Ale w końcu każdy, kto ma głowę na karku, mógłby sobie przypomnieć, jak się witalistycznie, Proteuszowo mieni „Kurjerek“ w ciągu ostatnich kilku i kilkunastu lat. Wystarcy zresztą zastanowić się choćby nad tem, co sam „Kurjerek“ przynosi [4]). Ale do tego trzebaby mieć choćby tylko rodzaj głowy!

XXII

Tym podobni, ze względów żeby tak powiedzieć frenologicznych, są łagodni. Im się okropnie nie podoba rozterka w narodzie — ale zato nie mają nic przeciwko wywijaniu kijem. Sądzą bowiem, zresztą nader słusznie, że najlepszym sposobem, aby nie oberwać po łbie, jest — nie mieć głowy. Wszystko, co się dzieje w Polsce, to jedno wielkie nieporozumienie. Nie sprzeciwiajcie się tylko źli ludzie, a wszystko skończy się jednem wielkiem „kochajmy się“ narodowem. Gdyby owa mitologiczna „fujara z Mościsk“ była człowiekiem, to prawdopodobnie byłaby łagodna. Oni to głosowali przedtem na listę D. U. P. (Demokratycznej Unji Państwowej), teraz stanowią niemowlęcą frakcję Bebe. Łagodni byli ci nasi przodkowie, co w epoce przed rozbiorami ostrzegali, żeby siłą i organizacją potencyj sąsiednich nieobrażać, bo „nierządem Polska stoi“... W Polsce jest wielu łagodnych. Nie jest łagodnym, kto pamiętaniem odpłaca niewinne głowy żołnierskie, zasmęcone podejrzeniem!

Tych wszystkich, tych wszystkich poczciwców, tych wychowanych odpowiednio, tych źle ulokowanych, tych zacietrzewionych i tych zgorzkniałych, widzę, jak cisną się lunatycznie z kartkami do głosowania. Dajcie jeszcze tych racjonalnych (XXIV) i tych nastraszonych (XXV)...

*

Któż naprzeciw? Czy niema nadziei? Owszem, są zorganizowani w stronnictwach i wierni swoim stronnictwom, są poinformowani należycie, są także — jak powiada o sobie jeden wybitny krytyk literacki — takie „wschodnio-galicyjskie dusze, które nie dadzą sobie zaimponować byleczem“, — których, Bogu dziękować, jest więcej w całej Polsce, są obdarzeni instynktami obywatelskiej godności i narodowej czujności, silniejszemi, niż tamte automatyzmy i sentymentalizmy, są obdarzeni tą przezornością, która ostrzega, iż poniewierka bezprawna na jednego z obywateli zagraża każdemu, są bezinteresowni, są nienastraszeni, są ci, co w pewnym momencie powiedzieli sobie „mam dość“, są ci, którzy sami w sobie znajdują przeświadczenie, że jakimś potwornym nonsensem byłoby, gdyby losy narodu miały być zawisłe od jednostki, co nie miała narodowi do powiedzenia nic, coby podniosło serca i rozszerzyło horyzonty. „Sanacja“ jest jak woda: wciska się tylko w próżnię. Stoi tylko pustką głów — i niezadowoleniem ze stronnictw.

---

[4]) Jeden bardzo zacny staruszek oburza się tem, co „Kurjerek“ przynosi w alarmującym artykule, że Metropolita Szeptycki, w swoich lasach karpackich kryje jakieś obozy podejrzane ukraińsko-niemieckie. „A gdzież policja nasza, jak na to pozwolą?!“... Słusznie! Ale ten sam dobry człowiek, w tej samej rozmowie oświadcza, że Polsce potrzebny „mocny człowiek“. — Jakże ta „moc“ zgadza się z tem, na co Pan Dyrektor właśnie przed chwilą narzekał? — Jakoś przecież godzą takie sprzeczności. Potrzeba wielbienia silniejsza ponad wszystko. Obserwacja psychologiczna typów sanacyjnych doskonale poucza, jak mało znaczy logika w życiu większości ludzi, jak wszystkiem jest motywacja uczuciowa.

Byłby w tej rewji ważny brak, gdybym jej nie uzupełnił jedną postacią, już tragiczną: żołnierz tragiczny. Niejeden z wojskowych, zwłaszcza z pośród młodych, może się czuć głęboko zaniepokojonym, widząc się poza nawiasem służbistych nastrojów środowiska. W niejednej cichej i uczciwej duszy żołnierskiej zagnieździć się musiało cierpienie konfliktu pomiędzy uczuciami politycznemi a czysto żołnierskiemi. I jeśli w końcu nastąpi bolesna kapitulacja wewnętrzna — to można to wyrozumieć. Myśląc o tem, myślę z ulgą o kimś — kto nie doczekał.

SIMPLEX

† WŁODZIMIERZ PERZYŃSKI

I PERZYŃSKI już umarł! Jakiż to smutek, gdy milkną ptaki, do których się przywykło. Ciężkie i szare jest życie, ale przecież nie beznadziejne, dopóki coś w niem śpiewa. Zarzucano Perzyńskiemu, że się pogodził z szarem życiem, nie szukając szerszych horyzontów. Ale przecież w tych ciasnych horyzontach jest też życie i umie kochać tych, którzy dla niego złożą z siebie ofiarę.

Włodzimierz Perzyński urodził się w czasach, kiedy wielkiej wiary na świecie nie było. Tomik jego liryk z r. 1902 zaczyna się od wyznania:

Bez młodzieńczej wiary idę w świat,
Słońca nadziei duszy mi nie złocą,
Bo już przeżyłem wiele długich lat
W moim pokoju nocą...

I kiedy się tak błąkał między ludźmi, jak senny, szukając dla siebie oparcia w rzeczywistości, tknęło go współczucie dla tego życia, właśnie z tego powodu, że jest takie szare. Był Prometeuszem, który kochał ludzi i radby wznieść ich do słońca i poto wrócił do życia z krainy swych marzeń, ale — wkońcu sam tu pozostał. Zamało miał wiary: „Smutek marzenia w mózg mu się wpił".

„Szare życie" też pragnie mieć swoje radości, garnęło go więc ku sobie:

Dam ci kąt ciepły, pożywienie zdrowe,
Ale ty, chłopcze, wszystkie sny tęczowe
Na mym ołtarzu złożysz na ofiarę...

I pozostał na padole. Życie omotało go. „Spokojne, gniewem nigdy nie wybucha, choć je przeklinam wciąż i odtrącam":

Spokojne wszędzie jak cień za mną kroczy
I rzuca szarą mgłę między me oczy
A niebo jasne, gdzie lśnią gwiazdy złote.

Pogodzony był z życiem, a jednak nie był wolny od niepokoju wewnętrznego. „Co noc ktoś cicho nademną łka i woła mnie po imieniu", a tak woła „tęsknota słońc i jasnych zórz". Szumy, jęki i słodkie szeptania środowiska nie głuszyły w nim nigdy jakiegoś mistycznego głosu wewnętrznego, który „na dnie serca pieśni cicho dzwoni".

Perzyński miał na sobie pas ratunkowy poezji, który mu nie pozwalał utonąć. Nie mówię: skrzydła, ale miał w sobie coś z łabędzia, jakąś nieprzemakalność ducha, że nie tonął i nie roztapiał się, mimo zanurzenia w życiu, które obserwował. To skomplikowanie natury sprawiało, że czuć było w nim człowieka wolnego, który, gdyby chciał, to by nietylko widział życie, aleby je zreformował. Ale nie chciał. Wyróżniał się tem od pisarzy, czerpiących inspiracje z życia wielkomiejskiego, że patrzył na nie z jakiegoś punktu własnego. Czytelnik nie mógł dociec tego punktu i to go w Perzyńskim zaciekawiało, a Perzyńskiemu znowu dawało swobodę — ironji.

Z konfliktu dramatycznego, jaki zachodził w jego duszy między słonecznemi tęsknotami a szarą rzeczywistością, wytwarzał na użytek artystyczny ironję. Ona stała się Perzyńskiego metodą, trybem obcowania ze światem; nią znęcał się nad życiem, które przecież kochał, znęcał się za to, że go zniewoliło.

Ponieważ miał sam dramat w duszy, więc z upodobaniem wypatrywał dramaty w owem szarem życiu, rozumiał je, współczuł im, umiał, jak mało kto, dawać im kształt teatralny, ale objektywizował je przy pomocy ironji. I to mu robiło satysfakcję artystyczną. Przez to dramaty stawały się komedjami.

Zarzucano mu, że kochał się w szarem życiu. Ale trzeba cenić wierność. Porównano go do wielkiego artysty, grywającego w sztukach małej wartości. Ale bywa gorzej, gdy zły aktor rwie się na arcydzieła. Nie pozował na Prometeja. Kochał sztukę i był jej wierny, jak życiu. Sztuka dla niego była życiem, równoległem do rzeczywistego. Równoległości przestrzegał, trzymając się od życia w równym dystasie ironji. I tem chronił się od niewolnictwa.

W sztuce doszedł do wyżyn jako komedjopisarz, co rzadko udaje się powieściopisarzom. Doskonałe komedje Perzyńskiego („Lekkomyślna siostra", „Aszantka", „Szczęście Frania", „Dzieje Józefa", „Polityka", „Uśmiech losu") były wybitnemi zdarzeniami w życiu literackiej Warszawy. Uczył patrzeć na życie ludzi, którzy bez takich pisarzy nigdyby się w niem nie zobaczyli; nie był może wychowawcą i nie chciał nim być, ale przecież dawał życiu świadomość i tu wielka zasługa społeczna jego pracy artystycznej. Ostatni to chyba z pisarzy, który się interesował żywym człowiekiem. Podobny z natury talentu do Bolesława Prusa, nie dawał tak rozległych, jak tamten, widoków, ale uczył kochać życie nie ze schematu ideowego, lecz w rzeczywistej postaci. Nie lubił wielkiej, patetycznej fali. Pokazywał z brzegu warszawskiego mętną Wisłę i uczył wpatrywać się w igraszki słońca na jej powierzchni. Szarzyznę życia roziskrzał brylantami humoru, aby dla spraw ludzkich jednać ludzkie serca.

Powieści jego były studjami, w których zostawił niemal z etnograficzną ścisłością zanotowane życie swoich czasów. Fejletony dziennikarskie, powieść za powieścią i wreszcie komedje, w których życie wzbierało falą, płynęły trzydzieści lat z pod tego szczodrego pióra. Ciężko się napracował.

Dzieła Perzyńskiego zaczęły się ukazywać z początkiem stulecia. Napisał ogółem 37 tomów, nie licząc mnóstwa fejletonów po dziennikach. A mógł jeszcze wiele z siebie dać. Miał zaledwie 52-gi rok życia. Zmarł w pełni popularności, w trakcie zapowiedzianych prac i wydań.

Wielki żal towarzyszy mu do grobu — i najbliższych, którzy go kochali, i świata literackiego, i całego społeczeństwa.

Z. W.

NA WIDOWNI

W stulecie powstania i książki Mochnackiego. — O tem, jak wygląda Polska od strony literatury. — Czego chcieli romantycy na ziemiach Bolesława Chrobrego przed stu laty, a czego my dziś chcemy? — Judel Klaczko, Wilhelm Feldman i żydzi dzisiejsi. — Żydzi piszący po polsku i Polacy myślący po żydowsku. — Polacy w defensywie. — Czy mamy skwitować z polskich aspiracyj? — oto zagadnienie walki wyborczej.

CZY na czas wyborów trzeba zawiesić prawo myślenia szerszego, aby się zamienić w żonglera kartki wyborczej, tchórzliwego wyznawcę zasad, nie uznawanych przez bojówki sanacyjne, w oportunistę któremu wszystko jedno, kto zwycięży? Owszem, nie zaszkodzi to bynajmniej polityce, jeśli w czas wyborów spojrzymy na nią ze stanowiska literackiego. Nikt nie robi większej krzywdy duchowi narodu i owocności jego prac od tych, którzy się upierają przy doktrynie, że twórczość dokonywa się niezależnemi od siebie pasmami. Według tej doktryny polityka, literatura, planowanie gospodarcze w społeczeństwie — są bytami samoistnemi i rozpatrywane być mogą, nawet muszą bez względu na człowieka, które je tworzy i na środowisko.

Zapewne, przy ocenie wyprodukowanego ziarna czy butów można nie pytać, kto je wytworzył. Przestrzeganie jednak tego stosunku do wartości humanistycznych, jak literatura, filozofja czy polityka jest poprostu likwidowaniem podmiotu dziejów, jakim jest naród ze swoją psychiką. Zastanawiającą jest rzeczą, w imię czyich interesów forsowana jest w naszych czasach doktryna uniwersalistyczna, dążąca do zagubienia narodu w państwie, filozofji w logice matematycznej, ducha twórczego — w formie estetycznej, a idei wogóle — w nihilizmie, równającym w poziomie wszystkie wartości duchowe. Istnieje dążność do wycofania z obrotu wartości duchowych człowieka. Zależy komuś na tem, aby znieść rodowody dążeń i idej. Gdyby się na tę zasadę świat zgodził, hodowla ludzi według cywilizacyj byłaby niemożliwa, zatraciłyby się nietylko style ludzkie, do czego tak usilnie dąży standardyzacja obyczajowa, ale i wartości wewnętrzne. Nawet konie obowiązane są mieć paszporty, jeśli chodzi o hodowlę wzorową, w każdym razie zagląda się im na targu w zęby. Żydzi, handlujący końmi na jarmarkach, walczą z temi przesądami. Umieją też nadawać koniom pozory temperamentu ekspresjonistycznego, wynagradzającego brak stylu rasowego.

*

Sto lat temu o tej porze właśnie — w jesieni — Maurycy Mochnacki kończył książkę, która do tej pory każe się czytać, „O literaturze polskiej XIX wieku". Daleko pożyteczniej tę książkę na jubileusz powstania Listopadowego czytać, niż dajmy na to „Kordjana". Mochnacki pisał o literaturze, ale gdy postawił kropkę, poszedł bezpośrednio do powstania. Dla niego literatura jest tworem „systemu tych działań i poruszań myśli, które mają najbliższy i bezpośredni związek z cywilizacją i duchem narodu". Literatura mieści się w ideach, ona jest „refleksją oświeconego narodu". Przez nią naród staje się istotą świadomą siebie, indywidualnością. Wiedzieć o sobie tyle znaczy, co myśleć. „Światło, wiedzące, że jaśnieje, byłoby myślą":

„Jest więc literatura z pewnego względu jako sumienie narodu. Z czego wypada, że naród nie mający własnej, oryginalnej literatury, to jest nie mający wyciągnionej na jaśnię powszechnej masy wszystkich swoich wyobrażeń, pojęć i myśli — jest tylko zbiorem ludzi, zamieszkałych na przestrzeni określonej pewnemi granicami, którzy jeszcze moralnego ogółu nie składają. Nie dosyć na tem, że jesteśmy: potrzeba to jeszcze w i e d z i e ć. Im lepiej to wiemy, tem bardziej rozszerzamy się, umacniamy w jestestwie naszem"...

„Wszelki ród rodowity, historyczny, w historję świata zachodzący, jest jako roślina w patryarchalnej osiadłości: z nasion na ojczystym rozkwita gruncie, a potem za błogosławieństwem nieba w wysokie, cieniste drzewo wyrasta. Stoi mocno i bezpiecznie na pniu to drzewo, jeśli ssie pokarm z ziemi, jako z piersi macierzyńskich. Korzeniem jego jest przeszłość historyczna. A wszystkie dzieje tego pnia rokrocznie wyrzynające się na nim pierścienie szeroko rozpowiedzą"!

Powiedzą dziś na to: staroświeczczyzna, Schelling'jada! Co nie mogło się utrzymać u Mochnackiego, to wiara, że poezja jest najwyższym szczeblem uświadomień. Rządy poezji minęły, ale prawdą zostało, że naród wypowiada myśl przez ludzi wiernych mu duchem. Jest to prawda socjologiczna. „Czegóż chcieli romantycy na ziemiach Bolesława Chrobrego?" — pytał tedy Mochnacki. I po swojemu odpowiadał. My dzisiaj bylibyśmy wyśmiani, pytając poetów czego c h c ą (!) na odzyskanych ziemiach Bolesława Chrobrego. Poeci nie mogą niczego chcieć. Czasy są ekspresjonizmu. Jakiego Bolesława? — spytają. Czasy są futuryzmu. Inne zresztą w grze są imiona Chrobrych.

Jeszcze ostatni z historyków nowożytnej literatury (ostatni z Mochnackich) Wilhelm Feldmam czegoś c h c i a ł, jeszcze jakiś związek literatury z życiem czuł. Też był romantykiem, ale już mniej ciekawe, czego c h c i a ł.

*

A propos Feldmana. Dziewięć lat zaledwie upłynęło, odkąd Mochnacki pisał powyższą teorję drzewa literatury, wyrastającego z ziemi ojczystej, kiedy zanotowano w prasie warszawskiej wiadomość o pojawieniu się w Wilnie młodego „izraelity", który pisze po polsku wiersze. Był nim Judel Klaczko. „Piśmiennictwo Krajowe" Hipolita Skimborewicza nie chciało tego brać poważnie. Wydało się to niemożliwem. Jednak w parę lat potem „Piśmiennictwo" zmieniło pogląd: „Mamy — pisano tam w nr. 6 z r. 1841 — za najmilszy dla siebie obowiązek odwołać uwłaczające zdania. Owszem najuroczyściej do grona zwolenników piśmiennictwa krajowego przyjmując młodego przybysza, dla zupełnej odpłaty sprawiedliwością *(restitutio)* umieszczamy bezstronne zdanie rektora Pijarów lubieszowskich, ks. Antoniego Mószyńskiego".

Otóż ujął się za nim kapłan katolicki. Wyraża on w liście podziw dla młodocianego talentu. „Jest rzeczą niezwykłą, że pisze te wiersze członek oddzielnej u nas kasty, z trudnością naukom naszym przystęp do siebie dającej, słowem Izraelita"...

„Niektórzy nawet w Wilnie nie mogli uwierzyć, aby trzynastoletni Izraelita był istotnie autorem wierszy, które z jego podpisem wyszły pod nazwą „Moja pierwsza ofiara"... Judel ma w rękopisie sonety, wiersz „Izraelita na zwaliskach Jerozolimy" i pracuje nad poematem „Powódź". W hebrajskim języku nie mało napisał i drukował"...

*

Od czasu tego „uroczystego przyjęcia" do literatury polskiej młodego Judela Klaczki upłynęło niespełna lat 60, a mieliśmy już kilkutomowe oszacowania literatury, dokonane przez Wilhelma Feldmana. Szybko poszło w latach ośmdziesiątych zeszłego wieku judelizowanie literatury, odkąd do-

rosło pierwsze pokolenie po równouprawnieniu żydów w Polsce. Feldman stara się jeszcze w podstawy ruchu literackiego brać rytm duszy polskiej, wiąże go z faktami dziejów polskich. Oczywiście nie sięga do Bolesława Chrobrego, ale bądź co bądź pamięta o powstaniach i żydów na ziemi Bolesława Chrobrego podaje za potomków duchowych Berka Joselewicza.

Po wojnie obraz nagle się zmienił. Nie mówi się o literaturze polskiej, lecz o literaturze w Polsce. Dawne podręczniki dziejów literatury polskiej (K. Wojciechowskiego) ukazują się z dodatkiem literatury powojennej, w ten sposób dokonanym (prof. S. Aleksandrowicz), że Tuwimowi lub Słomińskiemu książka poświęca dwa razy więcej miejsca, niż Wyspiańskiemu. W pejzażu literatury współczesnej na pierwszym planie ognisko „Wiadomści literackich“ oświetlające po rembrandtowsku oblicza pisarzy „izraelitów”, a w drugim planie b. Sarmatów, sięgających po ubogą daninę sławy. W głębi nie Wisła płynie, lecz Skamander. Tak wygląda w podręcznikach dzisiejsza Polska.

Z krytyki literackiej usunięto zupełnie sposoby rozpoznawania ludzi i idej. Pisarz stosujący w krytyce metody psychologiczne lub socjologiczne podawany jest przez Polaków nawet za partyjnika, przez żydów za antysemitę, jest bojkotowany, rzucony przez żydki między przeżytki. Szanujący się krytyk zna tylko kanony estetyczne i patrzy, jak artysta w ich ramach się obraca. Dla idej miejsca tu niema. Przeto i zakres literatury ograniczono do twórczości artystycznej. W całej Europie, zwłaszcza w Niemczech, skąd wzory bierzemy, krytyka zwolniła żydów piszących z obowiązku legitymowania się ideą lub stosunkiem do ziemi i środowiska społecznego. Dla nich uznano za możliwe zrównanie w sztuce wszystkich wartości do zera. „Człowiek dzisiejszy — pisze nasz Peiper—nie ma powodu widzieć w słońcu nic więcej nad złotą cętkę, ma zaś prawo w guziku od spodni upatrywać zwierciadło swej własnej wielkości“.

I nikt z krytyków nie czuje potrzeby, czy nie ma odwagi wyłamać się z konwencjonalnego kłamstwa, kryjącego się pod poważną maską objektywizmu estetycznego. Zamiast powiedzieć wprost: żydowszczyzna, zmuszają talenty polskie do współzawodnictwa z Judelami. Ponieważ Polak rasowy rekordu wziąć nie może w takich zawodach, więc pesymizm tłoczy twórczość polską. Żydzi podczas wojny wypoczęli i zbogacili się; to im dodało fantazji, że „poczuli się w jestestwie swojem“, jak mówił Mochnacki. Gdy krytyka mozoli się nad zjawiskami ekspresjonizmu czy futuryzmu, oni poprostu wypowiadają w języku polskim swoją nihilistyczną duszę.

*

Oto mamy teraz rok 1930, w którym wypada święcić uroczyście stulecie 1830. Właśnie o tej porze, w jesieni, kiedy przed stu laty Mochnacki pisał słowa: „Czegoż chcą romantycy (Polacy) na ziemiach Bolesława Chrobrego?“ — rozlega się krzykliwa odpowiedź na ciche rodaków pytania: Czegóż chcą żydzi na ziemiach tego Chrobrego? Żydzi gniewają się. Tonem rozkazującym wskazują rządowi osoby, które się ośmielają protegować literaturę polską. Dość tego — woła rozzuchwalony Judel Słonimski, waląc pięścią w stół. Pan Stanisław Michalski, naczelnik Funduszu Kultury przy prezydjum ministrów, musi być ze służby wydalony! Cóż się stało? On jest antysemita, on daje zasiłek pismu literackiemu z zastrzeżeniem, że ma być organem myśli twórczej polskiej! On powołał do życia radę literacką w postaci Instytutu literatury, w którym nie ma żadnego żyda!

Podniósł się krzyk, potęgowany przez megafony prasy żydowskiej i megalomany półkrwi. Oczywiście dokonany będzie mord rytualny na śmiałku Polaku, który chce czegoś polskiego na ziemiach Bolesława Chrobrego. Żydzi piszący po polsku i Polacy myślący po żydowsku nie mogą pozwolić na to, żeby naród polski „poczuł się w jestestwie swojem“. Na Olimpie sanacyjnym głos ich ozwie się wdzięcznem echem. Czyż żydzi nie są w Polsce „narodem wybranym“? Im tylko jednym nie dzieje się żadna krzywda.

Literatura nie może dzielić innego losu niż naród. Ci, których misją jest odsunąć naród polski (naród idjotów) od twórczości państwowej, potrafią go odsunąć od literatury. Zniszczyć skutecznie Polskę można tylko od wewnątrz, przez zatrucie jej sił twórczych. Słonimski, Tuwim, Goetel, Kaden, Boy mają ze swego stanowiska rację. Literatura bowiem jest sumieniem narodu. Wiedzą od Mochnackiego, że naród, nie mający własnej oryginalnej literatury, jest tylko zbiorowiskiem ludzi; moralną istnością i siłą twórczą nie będzie. Zabić myśl polską — to pierwsze zadanie.

*

Od czegóż to zaczęliśmy? Że nie zaszkodzi to polityce, jeśli w czas wyborów spojrzymy na nią ze stanowiska — literackiego. Tak wygląda Polska z tej strony widziana. Pokazuję ją potomkom bohaterów w setną rocznicę ich walk. Widzicie, jaki stan i jakie tendencje mamy w walce narodowej przezwyciężyć. Orężem naszym jest w tej chwili kartka wyborcza. Ale ona — bywają takie chwile — więcej czasami znaczy niż szabla, bo znaczy ona myśl i wolę. O to tylko chodzi, byśmy się zliczyli i zsunęli ramię do ramienia, ogarnięci jedną myślą o wielkiej, świadomej siebie Polsce.

ZYGMUNT WASILEWSKI

WYCHOWANIE NARODOWE

SZKOŁA NA POLESIU

NAKŁADEM Poleskiej Rady Wojewódzkiej wydał Kurator O. S. P. Zygmunt Gąsiorowski referat, wygłoszony na plenarnem posiedzeniu Poleskiej Rady Wojewódzkiej, p. t. „Szkoła na Polesiu na tle stanu i potrzeb szkolnictwa Rzeczypospolitej“ [1]).

Wydawnictwo bardzo cenne, że wogóle porusza sprawy szkolne, a przedewszystkiem dlatego, że omawia szkolnictwo na Kresach, na Polesiu, które jest krainą o „o nieobliczalnych wprost możliwościach rozwojowych”. Największą wartością referatu jest samo poruszenie zagadnienia, niezależnie od informacyj, jakie z niego zaczerpnąć możemy. Referat zasługuje ze wszech miar na to, by go przeczytali nietylko fachowcy, ale i ci wszyscy,

[1]) Brześć n. B. 1930, str. 69.

którzy interesują się Kresami, ich przyszłością i znaczeniem dla państwa.

P. kurator Gąsiorowski omawia kolejno administrację szkolną, szkolnictwo powszechne, szkolnictwo średnie ogólnokształcące, szkolnictwo zawodowe, oświatę pozaszkolną, wydatki na oświatę i znaczenie oświaty powszechnej.

Ciekawy jest króciutki rys historyczny szkolnictwa polskiego na Kresach, zwłaszcza na Polesiu od r. 1832 do wojny światowej. Przez 70 lat Rosja niszczyła systematycznie szkolnictwo polskie, doprowadzając ziemie kresowe do tego, że Okrąg Wileński, który w dziedzinie oświaty górował nad olbrzymią Rosją, szedł już około 1900 r. poza wszystkiemi okręgami szkolnemi Rosji centralnej.

W wieku XX-tym Rosja zmienia swą politykę szkolną, rząd zaczyna popierać szkolnictwo ludowe na terenach, zamieszkałych przez prawosławnych, zwłaszcza na terenach dawnej Unji. Wojna światowa zastała na Polesiu 644 szkoły o 795 nauczycielach, z 45.000 dzieci. W roku zaś 1929/30 było szkół 1062 o 2010 nauczycielach, dzieci natomiast uczyło się przeszło 110.000. O ile w roku 1921/2 uczyło się tylko 22,5% dzieci w wieku szkolnym, to w 1925/6 już 51%, a w 1928/9—84,2%. Następny rok 1929/30 wykazuje pewien spadek procentowy — na 81,4, który wobec braku odpowiedniego powiększenia etatów grozi cofnięciem się na 72,1%. P. kurator dzwoni na alarm, podkreślając, że o ile problem realizacji powszechnego nauczania jest tak trudny w całem państwie, to jest on tem trudniejszy na Polesiu, gdzie przyrost dziatwy jest największy w całej Rzeczypospolitej. To samo zjawisko stagnacji i cofania się wstecz ujawnia się i w innych okręgach.

Rozbudowa szkolnictwa powszechnego pod względem stopnia organizacyjnego na Polesiu jest duża. W przeciągu dziewięciu lat liczba szkół 2-klasowych wzrosła z 68 na 263, 3-klasowych z 16 na 103, 4-klasowych z 18 na 44, 5-klasowych z 9 na 22, 6-klasowych z 2 na 10, 7-klasowych z 5 na 56. Ogólna liczba klas wzrosła z 837 na 2139.

Pod względem narodowościowym na ogólną liczbę 1062 szkół jest jedna szkoła białoruska, 13 utrakwistycznych (10 białoruskich, 3 ukraińskich), nadto 30 szkół ma język białoruski jako przedmiot.

Prywatnych szkół powszechnych jest 58, jedna ukraińska, jedna rosyjska, trzydzieści z językiem hebrajskim, dwadzieścia sześć z żydowskim językiem nauczania.

Szkół średnich jest na Polesiu ogółem 20 z tego 8 państwowych, 12 prywatnych. Nasycenie szkołami średniemi odpowiada mniej więcej nasyceniu w całem państwie. Tendencyj rozwojowych na tem polu niema. Rozmach rozwojowy ujawnia się natomiast w zakresie szkół i kursów zawodowych, których w 1925 było zaledwie 12, a w 1929/30 było już 29, liczba zaś uczniów wzrosła z 1052 na 2292. Wszystkie szkoły zawodowe są szkołami prywatnemi.

Pomieszczenie szkół wszystkich typów jest na Polesiu fatalne. Najwięcej jeszcze zrobiono dla szkolnictwa powszechnego, wybudowano bowiem w ciągu dziewięciu lat 105 budynków o 244 salach, a w budowie pozostaje 23 budynki o 123 salach. Szkoły średnie w 80%, a zawodowe w 100% nie mają odpowiednich własnych lokali.

Szkoła na Polesiu nie zamknęła się w swych murach, lecz promieniuje na otoczenie. Nauczycielstwo i władze szkolne podjęły szerszą akcję oświatową, którą jak na ubogie stosunki poleskie dość wydatnie poparły samorządy. Magistraty i gminy przeznaczyły w r. 1929/30 na oświatę pozaszkolną 51.486 złotych, sejmiki natomiast 26.020 złotych. Kuratorjum poleskie posiada sporo pomocy do pracy oświatowej pozaszkolnej. Przy Centralnej Bibljotece Pedagogicznej, liczącej 5.000 tomów, 70 czasopism pedagogicznych i naukowych, ma ono osobny dział książek, dotyczących oświaty pozaszkolnej, następnie rozporządza Kuratorjum 22 latarniami projekcyjnemi, dwoma aparatami filmowemi, 2418 przezroczami, 10 bibljotekami dla dorosłych — Ministerstwa W. R. i O. P. i 89 bibljotekami „Towarzystwa Opieki nad Kresami". Na pozór mało, jednak aparatem takim nie rozporządza niejedno Kuratorjum w centrum państwa.

W zakończeniu dochodzi p. kurator Gąsiorowski do wniosku, że czynniki państwowe, a zwłaszcza administracja, nie zdobyły się na wytworzenie atmosfery entuzjazmu, żywiołowej, powszechnej akcji, by rozwiązać sprawę budownictwa szkolnego. „Zahamowano wszelką inicjatywę społeczną, unicestwiono ją nawet tam, gdzie samorzutnie powstawała. Z reguły odrzucane są między innemi plany finansowe, skreślane kredyty na inwestycje szkolne tych związków komunalnych, które samodzielne źródła dochodów na cel powyższy znalazły i w budżetach umieściły". W rezultacie znalazło się szkolnictwo powszechne w „matni bez wyjścia", wszelkie publikacje, dotyczące sieci szkolnej, powszechnego nauczania stały się makulaturą. Zastój w szkolnictwie powszechnem, spostrzegany na razie przez nieliczne zaledwie jednostki, grozi narodowi klęską o wiele większą, niż wszelkie dotychczasowe zawody i klęski gospodarcze.

Baczny obserwator szkolnictwa naszej polskiej rzeczywistości, kurator Gąsiorowski, zwraca uwagę na organizację szkolnictwa na wsi. Zadaje sobie pytanie zasadnicze — skąd, z jakiego źródła mają dopływać: z miasta wyłącznie, czy i ze wsi owe coraz większe zastępy twórczych, coraz tęższych sił młodych pokoleń? Wobec niskiej organizacji szkolnictwa na wsi, uzależnionej warunkami geograficznemi i osiedleniowemi, istotny monopol na oświatę posiadają miasta „z ich niezdrową strukturą narodowościową". Miasta mają 100% szkół 7-klasowych, szkoły średnie i zawodowe, wieś natomiast pierwszych ma tylko 8%, pozostałych niemal zupełnie nie posiada.

Dalszy logiczny wniosek autora dotyczy kwestji — czy rozumnem, celowem jest zwijanie niższych klas gimnazjalnych, by zrealizować postulat jednolitej szkoły. Dziś trudno jest dziecku ze szkoły wiejskiej dostać się do I-ej klasy gimnazjalnej, dostanie się zaś do klasy IV-tej przy tym samym poziomie organizacyjnym szkół wiejskich, będzie czemś nieziszczalnem. Zbyt teoretyczne ujmowanie zagadnienia jednolitej szkoły, operowanie demagogicznemi argumentami, bez liczenia się z rzeczywistemi polskiemi stosunkami, doprowadza do absurdu rzekomą demokratyczność projektu ustroju szkolnictwa. Realizowanie jednolitości szkolnictwa dziś, odpycha ludność wiejską od korzystania ze szkoły średniej wogóle.

Z.

NAUKA I LITERATURA

RUCH WYDAWNICZY

Jako tom XI Lwowskiej Bibljoteki Slawistycznej wyszedł „Zarys antropologji Polski“. Autorem tego wspaniałego dzieła jest znakomity antropolog Jan Czekanowski, profesor uniwersytetu lwowskiego. Dzieło ukazało się nakładem zasłużonej firmy księgarskiej Jakubowskiego i sp. Wydane starannie, na pięknym papierze, obejmuje stron XVI i 592. Pozatem wiele tablic i mapy.

Przed paru laty prof. Czekanowski wydał w tej bibljotece dzieło: „Wstęp do historji Słowian“. Jest to część ogólniejsza całości wykładu, którą dopełnia dzieło teraz wydane. Składa się ono z 12 studjów, stanowiących w książce rozdziały. Autor pracował nad niemi w latach 1914 — 1929, nie szczędząc podróży (do Afryki), badania zaś pomiarowe Polski prowadzał już od r. 1903.

„Dopiero po wielkich wysiłkach — pisze autor — i po wydoskonaleniu aparatu badawczego zdołałem zdać sobie sprawę z rzeczy obecnie już tak oczywistej, jak to, że element laponoidalny stanowi drugi co do swej siły liczebnej składnik ludności Polski, gdy natomiast typ presłowiański jest tylko jego mieszańcem. Nie tak dawno nie wiedzieliśmy przecież nawet tego, że element nordyczny jest najliczniejszym składnikiem naszej ludności, a dopiero teraz wyłoniło się zagadnienie typu paleoazjatyckiego, jako składnika ludności naszych kresów wschodnich“.

„Polska — pisze autor w zakończeniu książki — jest obecnie pod względem antropologicznym najlepiej zbadanym krajem. Jej stosunki antropologiczne doczekały się ujęcia ogólnego, łączącego wyniki wielkiego zdjęcia masowego z wynikami szczegółowych badań monograficznych. Nie osiągnęły tego ani Włochy, ani Szwecja, które przeprowadziły znacznie wcześniej swe wielkie zdjęcia antropologiczne. Ten stan rzeczy pozwoli Polsce zająć odpowiednie miejsce w dziedzinie antropologji, gdy wyniki badań polskich dotrą do świadomości zagranicy“.

Widzimy z tych słów, tak krzepiących dumę narodową na punkcie nauki polskiej, że ogół oświecony w zakresie poznania Polski ma wiele nowych rzeczy do zdobycia w dziele prof. Czekanowskiego. Są to odkrycia, bez których poznania wykształcenie nie może być kompletne. Jest, poza powieścią, bogata w Polsce literatura. Ostatnie dziesiątki lat niesłychanie zbogaciły naszą wiedzę o Polsce zdobyczami językoznawstwa i antropologji.

Dzieła prof. Czekanowskiego winny znaleść szeroką poczytność.

*

Ukazał się zesz. 3 rocznika 1930 „Pamiętnika Literackiego“ pod redakcją prof. Bron. Gubrynowicza. Pięć rozpraw: Wil. Bruchnalskiego ciąg dalszy obszernego studjum „Poetyka Jana Kochanowskiego“, Jul. Krzyżanowskiego „Historje świeże i niezwyczajne“ (rękopis powieściowy z czasów saskich), St. Zabierowskiego „Samuel Zborowski jako motyw literacki“, A. Gruchalskiego „Ze studjów nad trylogją Sienkiewicza“ i J. Hulewicza „Źródła ideologji społeczno-politycznej St. Żeromskiego“. Poza tem wiele drobniejszych artykułów i przyczynków oraz bogaty dział recenzji.

*

Polskiemu czasopiśmiennictwu naukowemu przybył w tym roku nowy kwartalnik poświęcony sprawom nauczania języków nowożytnych (angielskiego, francuskiego, niemieckiego) p. n. „Neofilolog“. Jest on zarazem oficjalnym organem Polskiego Towarzystwa Neofilologicznego, założonego na pierwszym Kongresie Neofilologów w Warszawie w 1928 r. Dotąd wyszły trzy numery tego kwartalnika i przyznać trzeba, że nie zawiódł pokładanych w nim nadziei. Ostatni numer zawiera prof. Z. Łempickiego rozważania na temat „dróg i celów współczesnej stylistyki“. Sprawom nauczania poświęcone są artykuły: „Zakres nauki o kulturze w nauczaniu języka niemieckiego“ i „Nauka języków obcych w systemie daltońskim“. Bardzo pożytecznym działem w „Neofilologu“ jest rubryka: „Z praktyki dla praktyki“, niestety dotąd mało wykorzystana. Bardzo obfity jest dział recenzyj i omówień nowych publikacyj, tyczących się nauczania języków nowożytnych, oraz sprawozdania z czasopism. Dział bibjografji przedstawia się również zadowalająco. „Neofilolog“ zyskałby ogromnie, gdyby nasi poważni neofilolodzy (Prof. Czerny, prof. Morawski, Glixelli, Kleczkowki, Wukadinowicz, Mann i inni profesorowie uniwersytetu) często zabierali głos i kwartalnik zasilali swemi pracami, by nie obarczać zanadto młodych, choć bardzo chętnych i pracowitych neofilologów.

*

Na rynku księgarskim zaczynają się pojawiać pierwsze jaskółki, zwiastujące bliską setną rocznicę Powstania Listopadowego. Bardzo pożyteczną pomocą do urządzania obchodów ku uczczeniu setnej rocznicy Powstania Listopadowego jest wydane u Rzepeckiego (Poznań 1930) album. Wygląd zewnętrzny jest miły, cena przystępna (4.50 zł.). Tekst napisał dr. Pawłowski, dzieląc swą pracę na następujące rozdziały: Wstęp — Królestwo Polskie — Związek Podchorążych — 29 listopada 1830 — Przygotowania wojenne — Rosyjskie działania zaczepne — Polskie działania zaczepne— Upadek powstania. Autor tego dość obszernego szkicu uwzględnił nową literaturę przedmiotu, przedstawił barwnie i zajmująco całą tragedję owego czynu zbrojnego. Część druga zawiera ilustracje, z których dużo dotąd nie opublikowanych. Ilustracje obejmują sceny walk, plany, fotografje odezw, afiszów, rozkazów i innych dokumentów, portrety wszystkich ważniejszych uczestników i organizatorów powstania. Format reprodukcyj umożliwia wyświetlanie ich epidiaskopem, stanowi więc znakomite ożywienie każdego wykładu czy odczytu na temat Powstania Listopadowego. Niska cena umożliwi nabycie albumu rozmaitym towarzystwom i szkołom, organizującym obchody listopadowe.

SZTUKI PLASTYCZNE

WYSTAWY

W KLUBIE urzędników państwowych umieściła się okrężna wystawa malarska trzech Styków — zmarłego niedawno Jana Styki oraz dwóch jego synów Tade.(usza) i Adama. Wystawa podróżuje po Polsce i podoba się ludziom. Jednakże jest-to wystawa trzech wszechstronnych dyletantów. Zaznaczam ich wszechstronność w dyletantyzmie, bywają bowiem dyletanci jednostronni, a pozatem — artyści. Był, naprzykład, w Polsce artysta-rysownik Descour, który nieumiejętnie rysował, ale miał talent kompozycyjny, oryginalne i bardzo plastyczne tematy poetyckie, duże poczucie dramatyczne, artystyczny zmysł światłocieniowy, prostotę i skromność sztuki rzetelnej. Był inny — Bigosiński, artysta-malarz o niepełnej kulturze malarskiej i rysowniczej, ale z głębokim odczuciem kolorystyki, ze wzruszającym światem swoich wizyj malarskich i, również, z rzetelnym, poważnym stosunkiem do sztuki. I tak wielu innych. Tu zaś — u Styków dyletantyzm objawia się we wszystkiem, a jednocześnie jest poza, gonitwa za efektem i lekkie traktowanie samych podstaw malarstwa i rysownictwa. Wszystko razem składa się na wysoce przykrą, bo pewną siebie, łokciami rozpychającą się banalność.

W Salonie Garlińskiego w pierwszej połowie października była wystawa dwóch artystów, zamieszkałych w Rzymie. Jeden Italjanin — Vito Lombardi, drugi Polak — Bohdan A. Meleniewski. Katalog podaje niesmaczną reklamę obu artystów. Właściciel Salonu miałby prawo na reklamę w katalogu nie zgodzić się, bo to poniża sztukę, artystów i Salon. Reklama katalogowa — pozatem — budzi podejrzenia, czy obaj artyści (bardzo do siebie podobni) nie są „przypadkiem“ dwoma Kwiprokwokami (kryptożydami). W maskaradzie czasów obecnych wszystko jest możliwe... I pastele p. Meleniewskiego i grafika p. Lombardi są jednakowo objektywnemi widokami Rzymu. Obaj, jak dwa aparaty fotograficzne, dokładnie i bez wzruszeń odtwarzają rzeczy widziane. Technikę obu znamionuje dobra szkoła i dobry gust — to wszystko, co można z cech artyzmu zaliczyć na dobro obu artystów. W drugiej połowie miesiąca Salon Garlińskiego otworzył wystawę mocno spóźnionego futurysty — p. Andrzeja Pronaszki. Katalog do tej wystawy komponowano zapewne w jednym ze szpitalów dla obłąkanych, obrazy — w najlepszym wypadku — opodal. Jeden z najszczerzej bzikowatych obrazów „zakupiono do zbiorów państwowych“, jak głosi kartka złocona. I tu zatem przedstawiciele państwa szybko jadą...

Zanim przejdę do październikowych wystaw Zachęty, muszę usunąć nieporozumienie, jakie podobno powstało po

między mną a Zachętą z powodu, jak to teraz dopiero się okazało, jednego błędu drukarskiego. W zeszycie nr. 36 „Myśli Narodowej“ z dnia 7 września, w szkicu moim p. t. „Po śnie letnim“, w łamie pierwszym wiersz 8 od dołu wydrukowano mylnie „do artykułu“, a powinno być „do artyzmu“. Mawa tu była o natłoczeniu ścian w Zachęcie mnóstwem obrazów, a zdanie odnośne w kształcie prawidłowym brzmi, jak następuje: „Trzeba koniecznie usunąć ilość na rzecz jakości, o ile ma się jeszcze uroszczenia do artyzmu“. Oczywiście, że „uroszczenia do artykułu“ mogły były urazić Zachętę, ale i mnie postawiłyby (i podobno postawiły) w świetle bardzo niekorzystnem. Nie używam oddawna tego słowa „artykuł“, bo go niecierpię. Ale otóż chochoł drukarski właśnie tem słowem musiał mnie po nosie zadrapać a ja tego właśnie szkicu po wydrukowaniu nie sprawdzałem, błąd przeto pozostał bez odwołania i, niepowstrzymany, nabroił. W całej Polsce się zachochliło aż do obrzydliwości, dlaczegóżby kaszty miały być od djabelskich śladów wolne?

W głównej sali Zachęty króluje obecnie wystawa akwarelowa p. Adama Grabowskiego, którego uznano za mistrza akwareli. Przy najlepszych chęciach nie mogę dojrzeć, w czem to mistrzostwo się objawia. Rysunek artysty niemal nie istnieje, a tam, gdzie już rysunku żadnym sposobem pominąć nie można, jest nieśmiały, sztywny, naturalistyczny. Syntez kolorystycznych niema. Kolorki są napstrzone, każda plamka dla siebie, nie tworzą nigdzie harmonji, ani nawet akordów pomniejszych. Z powodu tych dwóch braków zasadniczych obrazy artysty są roztrzęsione, rozlatują się w kształcie i w kolorze. Barwy zielone są surowe i zimne, przez co wszystkie obrazki z Puszczy Białowiejskiej zgruntu zostały chybione. Artysta nie posiada zmysłu kompozycyjnego, ani wyczucia nastroju. Stąd też jego liczne „motywy z puszczy“ i „wnętrza puszczy“ są małostkowe, chłodne i nudne. Bukiety kwiatów i kwietniki parkowe pod względem techniki rysunkowej i kolorowej stoją niżej krytyki. Jaskrawe, chaotyczne i zarazem mdłe kakofonje drobnych plamek barwnych. Tam, gdzie artysta chce naogólniać barwy, jak np. w „Mimozie“, dochodzi do ciężkich, wielkich kleksów kolorowych, które całkowicie niszczą rysunkowy charakter kwiatu, a w barwie są brudne. Słowem, bardzo mi przykro, ale to jest, jak i u Styków, wszechstronny dyletantyzm, tylko że umiarkowany i skromny.

Znacznie lepszym akwarelistą jest p. Maciej Nehring, którego prace w tej samej rozmieszczono sali. Artysta ten ma jeszcze daleką drogę do mistrzostwa, ale maluje z myślą o kompozycji, o kolorycie ogólnym, o syntezach kształtu i o nastroju. Farba mu jeszcze nie dopisuje, nie chcąc tu i ówdzie zamienić się w barwę, barwa nie zawsze uzyskuje siłę odpowiednią, artysta załamuje się czasem na zagadnieniach światła, zbytecznie (bo to rzecz beznadziejna) goni za blaskiem, niszcząc sobie harmonję barwną, ale to wszystko okupuje tym jednym wielkiej wagi faktem, że stawia sobie zagadnienia i zadania artystyczne, że walczy o nie, że przełamuje trudności, bo to właśnie stanowi drogę sztuki i termin rzetelnego artysty. Obok obu akwarelistów umieszczono prace Stanisława Noakowskiego, również akwarelowe, zapewne z reszty niewystawionej, ze spuścizny pośmiertnej uzyskane. Nie należą one do najprzedniejszych prac zmarłego, oprócz jednej, która jest przepiękna w kolorze i nastroju, ale warto i te obejrzeć. W każdym razie tu dopiero odczuwa się, czem jest mistrzostwo w akwareli. Sąsiedztwo dla p. Grabowskiego dość ryzykowne.

Zbiór obrazków olejnych p. Antoniego Grabarza ubogi i zmanjerowany w kilku płytkich barwach, z modelacją ciał nie posuniętą poza prace szkolne, z kompozycją banalną — nie daje pola do oceny rozwoju tego artysty. Inny zbiór — członka grupy „Bractwo św. Łukasza“ p. Janusza Podoskiego — świadczy również o zastoju talentu. Około trzydziestu prac — głównie portretów i studjów postaciowych, ciężkich w układzie, nalanych, tłustych, o baranim wyrazie twarzy, martwych w nastroju, ciemnych i smutnych w kolorze, urzędowych w rysunku i modelacji, akademickich — to ani kroku naprzód od pierwszej przed kilku laty wystawy. O pełnej sali prac olejnych p. Karola Kaczmarskiego tyle tylko da się powiedzieć, że na ocenę tego artysty trzeba zaczekać, aż on swoje farby przerobi na barwy. Wszędzie tu na całej powierzchni całego obrazu leżą farby olejne. Skąd można wiedzieć, co się pod niemi kryje? A farby nie są przedmiotem oceny artystycznej.

W zbiorze akwafort p. Karola Mondrala ukazuje się sztuka skromniutka, z wielkim osiągnięta trudem, bez uroszczeń i bez ducha. Kreseczka graficzna — bardzo nieśmiała, pospolita, kształcik trzyma się mocno za spódnicę pani matki — przyrody, kulturka — szkolna, kompozycyjka — ostrożna i niepomysłowa, rysuneczek — wypocony, wszystko malutkie, chudziutkie, a pracowite. Artysta dopiero w barwnych drzeworytach, w ludowym stylu robionych, czuje się pewniej i bogaciej, sądzę więc, że powinien tą drogą pójść bez oglądania się na swoją szkółkę, z Paryża przywiezioną. Wystawa pośmiertna przedwcześnie zgasłej Janiny Gessnerównej, złożona z sześćdziesięciu prac, w większości akwarel, świadczy wymownie o talencie, który zaledwie zaczął rozkwitać. Zbiór prac rytowniczych p. Stanisława Jakubowskiego jest z całej wystawy październikowej w Zachęcie najciekawszy i najbardziej wartościowy. Bogowie słowian nie stanowią w tym zbiorze klejnotu, nie są bogami, ani djabłami (Boruta i Rokita), lecz modelami ludzkiemi, przybranemi w te i owe symbole i ornamenty, ale zato krajobrazy i studja z motywami architektonicznemi, zwłaszcza barwne, są bardzo dobre, świeże i wytworne w kolorze, swoiste w rysunku, artystyczne w układzie, poetyczne w nastroju.

Oto już uporałem się z tą pańszczyzną ocen poszczególnych na wystawach bieżących. Czy to warto? Żadnej nikomu z tego korzyści, a wielu ma przykrość. Sądy, które ludzie wymieniają tylko między sobą, strzegąc się, by ich nie słyszał sądzony artysta, tu wywleka się na *forum* w obecności artysty. Po co? Dlaczego ktoś jeden ma być obarczony przykrością wypowiadania oceny ujemnej o dziełach artysty żyjącego, gdy dokoła w sprawie tej istnieje milczące porozumienie powszechne, że tu publicznie należy kłamać, a tylko prywatnie, w kole zaufanem można z uśmiechem wzajemnego poważania wyrazić sąd wręcz tamtemu przeciwny? Kto kłamać nie umie, niech milczy, a jeśli już koniecznie pisać musi, niech zajmie się sprawami ogólnemi sztuki. Wtedy, o ile zna się na rzeczy, więcej udzieli czytelnikom korzyści, bo rozwijać będzie zasady, według których, kto zdoła, sam sobie oceni każde dzieło, a przytem i sztuce światła przybędzie. Wyjątek mogą stanowić tylko te dzieła, dokoła których rozpali się wojna poglądów, rozstrzygająca o ważnych zjawiskach lub zagadnieniach sztuki. A te nudne wystawy bieżące trzeba traktować inaczej. Jak? O tem jeszcze pomyślę, bo mam pewną ideję, którą zapewne przy najbliższej sposobności w czyn wprowadzę.

Co zaś do kłamstwa krytyce artystycznej, to jest ono dzisiaj tak powszechne, pospolite, szare i małe, że nie warto go przysparzać. Bo jakże ono wygląda wobec kłamstw i fałszów i oszustw, w całem życiu publicznem obecnie szerzonych przez bandę kwiprokwoków, która rynkiem zawładnęła? Trzebaby chyba gwoli współzawodnictwu następującą sztukę cyrkową w krytyce uczynić. Wynaleść jakiego parszywego pawjana i ogłosić go za genjusza, za twórcę kultury i sztuki polskiej, za zbawcę i namiestnika bożego. Następnie otoczyć go nieustającym dymem kadzideł wonnych, (ażeby nosy wyznawców oddzielić od naturalnej woni pawjana), ogłuszyć go stale wrzeszczącym jazz-bandem pochwał (ażeby uszy wyznawców nie rozróżniały naturalnych głosów pawjana), przyodziać go szczelnie i obciśle (ażeby oczu wyznawców nie raziły nieowłosione szczegóły pawjana), a wreszcie schować go za tłumem błaznów ruchliwych i czołobitnych (ażeby całą postać pawjana uczynić mityczną). Po tych zabiegach nale-

żałoby pisać książki i broszury, wygłaszać odczyty i wykłady, zawierające fantastyczną historję pawjana, a każdy jego odgłos, z tej czy z tamtej strony wydany, obnosić w prasie, jako objawienie ducha. Można być pewnym, że akademje i uniwersytety będą się wtedy ubiegały o nadanie pawjanowi najwyższych odznaczeń i doktoratów, że setki mitrowych, pułkowych, herbowych i przydomkowych służalców uczyni dokoła pawjana gwardję honorową, że dziesiątki wytartych dziennikarzów będą się wysilały na efektowne dla pawjana panegiryki, że tłumy będą wznosiły dla pawjana zachwycone kwiki, beki i ryki.

Wszystko to łatwo uczynić. Czy Jojne Psurym nie jest dziś największym poetą polskim? Czy Ajzyk Anonimski nie jest dziś największym krytykiem polskim? Czy Kaban Dendrowski nie jest dziś (choć tylko pół żyd) tytanem powieści polskiej? Czy Nike sprawiedliwości polskiej nie otrzymała już za patrona całkowitego żyda? Kogoż z uczciwych nie dusi w życiu publicznem cyniczna tych czasów ohyda? To są przynajmniej tłuste, dobrze wypasione kłamstwa. Ale ta biedna malarska krytyka codzienna nie umie zdobyć się na wyhodowanie równie znakomitych piteków. Więc poco się trudzi?

STANISŁAW PIEŃKOWSKI

ZE ŚWIATA MUZYCZNEGO

POCZĄTKI SEZONU OPEROWEGO WE LWOWIE

NIE tak to dawno jeszcze, jak koła artystyczne nasze żywo dyskutowały nad sprawą dyrekcji teatrów miejskich we Lwowie, oświadczając się za tą lub ową kombinacją dyrekcyjną. Gdy kwestję rozwiązano, a kierownictwo teatrów zostało powierzone triumwiratowi: Czapelski, Zalewski, Schiller, powstało naprzód pewne wzburzenie, wywołane nie wyborem osobistości (jakkolwiek dyr. Czarnowski miał we Lwowie sporą ilość zwolenników) ile niebywałą ilością dymisyj personalnych pod hasłem radykalnej odmowy całego zespołu. Gdy wzburzenie minęło, co u nas zazwyczaj następuje dość szybko, opinja nastroiła się oczywiście jaknajkrytyczniej, ostrząc sobie ząbki już z góry na nową, nieznaną sobie dyrekcję i takiżsam nowy, nieznany zespół. Dyrekcja powinna była wziąć w rachubę te niezbyt dla siebie życzliwe nastroje; zdaje się jednak, że nie zdawała sobie z nich sprawy i zamiast ułagodzić pierwszemi krokami swemi opinję świata teatralnego, wystąpiła przedewszystkiem z enuncjacją, raczej drażniącą, niż kojącą, a już gdyby przynajmniej obojętną i objektywną! Enuncjacja ta, zapowiadająca nową erę teatru lwowskiego w sposób wyniosły i samochwalczy, nie wywarła dobrego wrażenia ani na świat artystyczny, ani na szersze koła doń należące; a już najniefortunniej została zwrócona do publiczności lwowskiej, znanej z tego oddawna, że przechwałek nieznosi, jeżeli zwłaszcza pochodzą one od nieznanych sobie osobistości zamiejscowych. To też obejmując kierownictwo administracyjne p. Czapelski okazał najwięcej znajomości terenu; zatrzymał bowiem w swem ręku władzę, a usunął się w stosunku do publiczności na drugi plan; chodzi więc obecnie tylko o to, aby wpływ jego na obu wspólników był dość silny. Jak wiadomo, lwowianin, wnuk Smochowskich i Dobrzańskich, wchodzi on do Lwowa pod egidą tradycyj z nazwiskami temi związanych, na nim też budować może impreza lwowska prawdopodobnie najwięcej, mimo, że Czapelski działa bez odpowiedzialności bezpośredniej, którą wzięli na siebie Zygmunt Zalewski w dziale opery a Schiller w dziale dramatu.

Enuncjację wspomnianą wzmocniono jeszcze następnie przedmową, jaką na programie sztuki „Zwycięstwo" umieścił i podpisał p. Schiller. Warszawa jest miastem wielkiem, i jak to w takich razach bywa, pozwala bez przeszkody uprawiać każdemu własny kierunek specjalny, a nawet wytworzyć sobie pewne grono zwolenników. Mimo to, działalność p. Schillera wyczerpała się w Warszawie, na eksperymentach o problematycznej wartości. Ze Lwowem sprawa ma się odmiennie. Miasto niewielkie w stosunku do Warszawy, przywiązane do świetnej przeszłości teatru swego, wiele wymagające, a zawsze skłonne do podpatrywania zamiarów ukrytych, widzi je nieraz tam nawet, gdzie ich wcale niema i czuje się zawiedzione przy każdej niemal sposobności. Takie więc jedno i drugie zdanie, wyrzeczone w przedmowie, nietylko z uznaniem spotkać się nie może, lecz w dodatku irytuje czytelnika. Dowiedziawszy się bowiem z ust p. Schillera, że „wczorajszy teatr wysechł i że zionął nudą na sto mil", każdy oczekuje czegoś niezwykłego, zupełnie odmiennego, od teatru, który ma być „dzisiejszym" naprawdę, a zawiedziony, pociesza się jedynie radością, iż przyłapał w teatrze znowu kogoś na „bladze", bo to bywa w takim wypadku ulubionem wyrażeniem. Być może, iż niefortunny swój krok ze „Zwycięstwem", p. Schiller zdoła w przyszłości naprawić, niewiara jednak pozostanie u publiczności na długo. I słusznie.

Nowy kierownik sceny lwowskiej wyrzekł się podobno swoich wszystkich warszawskich eksperymentów, ale wpadł znowu w jakąś zupełnie niespodziewaną pułapkę, przez samego siebie nierozważnie nastawioną, dał przeróbkę z powieście Conrada, która na scenie straciła swe wysokie wartości literackie, a nie uzyskała żadnych teatralnych, któreby publiczność przyjąć mogła z zadowoleniem. I nie jedynie dla swej przesadnej rozwlekłości, lecz właśnie dla owej „łopatologji", o której tak drwiąco wyraża się p. Schiller w teorji a którą w praktyce uprawia na tak wielką skalę! Bo czemże są te 22 odsłony sztuki, trwającej na premjerze do ½ do 2-giej w nocy? Czyż nie gwoli dokładności wciśnięto nieartystycznie na małą scenę tę obszerną fabułę wraz z jeszcze większemi obszarami mórz i archipelagów?... Nawet dobra gra aktorów nie mogła uratować tej niefortunnej „premjery".

Ale i opery nie pozostawiono w enuncjacji bez wzmianki: „Lepiej mieć samych Królów Rogerów, niż owych organistów z Ponikły" powiada odezwa dumnie, z przytykiem do rozmaitych polskich oper, które rzekomo w wielkiej oddali artystycznej stanęły od utworu Karola Szymanowskiego, ale kasowo nieźle się utrzymywały na scenie warszawskiej. Bardzo pięknie! Czy jednak nie zmieniono tych poglądów na przyszłość już zaraz w pierwszym tygodniu sezonu operowego? Bo wszakże po inauguracyjnej „Halce", dano „Toskę", „Traviatę", „Żydówkę", „Carmen", „Aidę" i „Borysa", czyli cały szereg najbardziej osłuchanych i opatrzonych oper repertuarowych, jakby na przekor własnym, chełpliwym zapowiedziom.

Źle jest zaiste w błąd wprowadzać drugich, ale jeszcze gorzej siebie samego, gdy się staje u progu przedsiębiorstwa tak ważnego!

Zespół operowy solistów, słaby na paru punktach, posiada jednakże kilka sił dobrych, z któremi da się prowadzić repertuar przeciętny, zasilony już jeżeli nie koniecznie „Parsifalem" i „Falstaffem", to niejedną operą polską lub obcą, przedstawiającą trudności nieco mniejsze. Dyrekcja rozporządza pozatem orkiestrą kompletną, zmieniły się pod tym względem czasy na lepsze, bo o muzyków łatwiej niż kiedykolwiek. Chóry mogą być jeszcze zwiększone, z baletem stało się to już podobno przez zaangażowanie dawnego.

Zresztą, dalsze powodzenie zależy w wysokim stopniu od dyrygentów. Zapewne, że lepiej byłoby nie wspomagać się siłami obcemi, zwłaszcza jeżeli one nie są chociażby obywatelstwem polskiem związane z nami. Co do Milana Zuny jednak, naturalizowanego w Polsce, to nie istnieje kwestja poważniejsza, gdyż okazał się on bezsprzecznie jednym z najlepszych kapelmistrzów operowych, jacy u nas pracowali, przedstawienie zaś „Żydówki" w tym pierwszym tygodniu opery lwowskiej potwierdziło tylko dobrą opinję, zdobytą przez Zunę jeszcze przed laty. Jest to kapelmistrz wokalista, tam zaś, gdzie całość polega na młodych śpiewakach, spe-

cjalność ta odgrywa rolę ważną. Tak obie bardzo utalentowane sopranistki, jak nowy basista, nie mówiąc już o zupełnie początkujących barytonistach, potrzebują ręki kierującej. Zapewne, że będą ją mieć w osobie dyrektora Z. Zalewskiego, rutynowanego artysty, ale ostateczne wypracowanie zależy, jak wiemy, od kapelmistrzów. Niestety, poza „Halką,“ prowadzoną gościnnie przez Młynarskiego i poza wspomnianą „Żydówką“, na innych przedstawieniach znać było pośpiech aż nadto, nic zatem dziwnego, że publiczność i prasa przyjęły je zimno. Czy się powiedzie dyrekcji naprawić to złe wrażenie dość rychło, na to częściowo można już dziś dać odpowiedź, bo oto właśnie powraca ze Lwowa Adam Wieniawski, którego „Megae“ wraz z „Wyzwolonym“ dano w 30-tą rocznicę istnienia gmachu Teatru Wielkiego we Lwowie. Wieniawski ma dla stosunków, jakie zastał we Lwowie, słowa jaknajżywszego uznania. Obydwie jego opery wystawiono pod każdym względem doskonale, z nadzwyczajną starannością. Publiczność jednakże przeważnie nie dopisuje i prawdopodobnie dopiero wystawienie „Aidy“, w nowej zupełnie szacie, przechyli, być może, szalę na stronę nowej dyrekcji, co oczywiście byłoby dla sztuki polskiej bardzo pożądane. Wszystko, co z powodu początków sezonu lwowskiego napisałem, jako naoczny ich świadek, ma być jednym tylko środkiem więcej w zdobywaniu obserwacyj, doświadczeń i prawd, z któremi niejedno gorzkie zdanie się łączy, oczywiście ku nieustannej naprawie błędów, słabości i niedostatków, a nie ku zadowoleniu zgóry powziętej jakiejś niechęci.

STANISŁAW NIEWIADOMSKI

NA MARGINESIE

Pan Wacław Sieroszewski, wyczytawszy komunikaty o planowanym zamachu na premjera Piłsudskiego, wystosował do robotników list otwarty, który rozdawano w śródmieściu przechodniom. W liście tym powołuje się na swoją działalność przed 50 laty, że „już wtedy w sercach naszych (jego i towarzyszy) kiełkowały nasiona przyszłej P.P.S. i jej pełnych chwały czynów“. Kończy zaś list wezwaniem: „Robotnicy... połóżcie kres położeniu, którego przedłużenie zniszczy Polskę!“ Cóż miał na myśli niezgrabny ten człowiek, pisząc tak do ludzi, którzy przecież nie są panami położenia?

*

Od jakiegoś czasu znów najprawowierniejszy z prawowiernych, irytujący niesmaczną u dorosłych ludzi pozą transu histerycznego, w jaki współpracowników pisma wprawia „Jego wielkie Imię“, sanacyjny tygodnik „Przełom“ (nr. 42) niepokoi się — mimo wszystko — rozmiarami ostatnich aresztowań politycznych: „... zaniepokojeni jesteśmy — pisze „Przełom“ — represjami w stosunku do ludności ukraińskiej w Małopolsce Wschodniej, represjami, które w pewnych granicach być może były konieczne, lecz stosowane zbiorowo, masowo nawet, — granice te, bodajże, już przekroczyły. Represje te rzucają zarzewie nienawiści, wykopać mogą przepaść dziejową między narodami polskim i ukraińskim“.

Tego, że w stosunku do ludności polskiej represje również są „stosowane zbiorowo, masowo nawet“ — „Przełom“ poczciwie nie zauważył... Że obecne metody sanacyjne „rzucają zarzewie nienawiści, wykopać mogą przepaść“ między dwoma odłamami narodu polskiego, wtedy właśnie, gdy jednolity, zgodny jego wysiłek jest nakazem chwili dziejowej, o tem biedaczynki z „Przełomu“ jakoś nie pomyślały... Poprostu, zapomniały o Polakach, niebożęta...

*

Co do jednego wszakże zaniepokojona represjami grupa „Przełomu“ może być całkiem spokojna. Póki „Jego wielkie Imię, blask i autorytet tego Imienia... i urok Jego legendy“ obowiązują w sposób oficjalny w Państwie, podpierane autorytetem policji i cenzury, nie będzie napewno rzucone „zarzewie nienawiści“, nie będzie wykopana „przepaść dziejowa między narodami“ polskim i żydowskim. Jakże słodko, jak sielankowo dźwięczą w dzisiejszej, raczej chmurnej epoce, słowa listu, który b. poseł z klubu BB. reprezentant żydów-ortodoksów, p. Eljasz Kirschbraun (obecnie ze względu na stan zdrowia zmuszony wycofać się z czynniejszej pracy politycznej) wysłał dn. 7 b. m. do p. prezesa Rady Ministrów Piłsudskiego: „...dzwi do których zapukałem — pisze p. Eljasz Kirschbraun — rozwarły się dla mnie na oścież i przyjęty zostałem przez wiernych pomocników Twoich, panie Marszałku, z całem zrozumieniem ważności sprawy. Doznałem braterskiego przyjęcia, jak równy przez równych... Umieszczając nazwiska obywateli żydów na wspólnej liście obok nazwisk najbardziej zasłużonych obywateli Polaków, co stało się jedynie za zgodą i wolą pana Marszałka, raz na zawsze wskazałeś panie Marszałku, obecnemu i przyszłym pokoleniom, że należy z przesądami i szowinizmem zerwać“.

Niczem czuły, radosny dźwięk fletni brzmią te słowa, w jakimż kontraście niezwykłym z obrazem czarnych, groźnych, jesiennych chmur, gromadzących się na posępną basztą w Brześciu nad Bugiem.

*

Jeden z najbogatszych w Polsce żydów, nafciarz Izaak Feuerstein, nadesłał z Drohobycza do „Gazety Warszawskiej“ list, wyjaśniający, że mianowany teraz prezesem Najwyższej Izby Kontroli w Rzplitej Polskiej generał Jakób Krzemieński w czasach, kiedy był żydem, nazywał się Friedmann, nie zaś Feuerstein, jak przez pomyłkę rozgłoszono. „Nikt z naszej rodziny — pisze Feuerstein — nigdy nie zmieniał ani nazwiska ani wiary i dlatego boli mnie, że w prasie imputuje się nam podobne rzeczy“. Wiadomość o tej nominacji zrobiła w kraju wielkie wrażenie, wiąże się ona bowiem z akcją sfer pomajowych przeciwko kontroli gospodarki państwowej ze strony Sejmu i Najw. Izby. O to przecież trwa walka z Sejmem; nie tajono też pretensji do prezesa Izby Wróblewskiego za opinję w sprawie b. min. Czechowicza. Stanowisko prezesa Izby Kontroli jest w organizmie Państwa źrenicą, której rolę powierza się ludziom wypróbowanej uczciwości i niezawisłości charakteru.

*

Dn. 21 września rb., kiedy w prasie głośno zaczęło być o sprawie majątku Piekieliszki i innych, oficjalna „Gazeta Polska“ zamieściła tłustym drukiem na pierwszej stronicy komunikat sanacyjnej agencji „Iskra“, donoszącej:

„Dowiadujemy się, że Marszałek Piłsudski kategorycznie zabronił konfiskowania i ścigania na drodze karnej dzienników, za podawanie wiadomości nieprawdziwych, tyczących się Jego, nie jako szefa rządu, lecz jako osoby prywatnej“.

Wzruszający do głębi był ten gest rycerskości w walce z przeciwnikami politycznymi: Anglicy, Francuzi i inne narody zachodniej Europy powinniby brać przykłady z naszych obyczajów, powinniby brać lekcje u „sanacji“, jak wytwornie, kulturalnie, z jak rycerską zaiste galanterją dbać należy o zapewnienie opozycji jednakowych z sobą warunków przy próbie sił, jaką są, w myśl obowiązujących przepisów Konstytucji, wybory... Łzy zachwytu i rozczulenia zaszkliły się nam w oczach, kiedy czytaliśmy ów wielkoduszny komunikat „Iskry“, i one to zapewne przeszkodziły odczytać dokładniej zawiadomienia, jakie dnia 21 b. m. pojawiło się w „Gazecie Warszawskiej“ (Drugi nakład po konfiskacie):

„Upatrując w treści art. Piekieliszki — Bujwidziszki wraz z tytułem... cechy przestępstwa... obłożyłem aresztem... wyżej wymienione czasopisma... podp. Komisarz Rządu, W. Jaroszewicz“...

*

Ze wspomnień prof. Stefana Surzyckiego w tym zeszycie czytelnicy się dowiedzą, ile razy w czasach niewoli rosyjskiej patrjota ten napastowany był przez żandarmów rewizjami i aresztami. Z opowiadania jego widać, że przy pisaniu towarzyszyła mu ta błoga myśl, iż czasy te minęły bezpowrotnie. Tymczasem dzienniki donoszą, że w tych dniach w mieszkaniu jego w Krakowie policja dokonała ścisłej rewizji i syna jego aresztowała. A syn przecież niczem innem nie zawinił, tylko tem, że postępował, jako dobry Polak, śladami ojca. Nie podobna — pokazuje się — święcić efektownie rocznic wyzwolenia i pisać wspomnień o czasach przeklętych, jak o ciężkim śnie.

*

P. Boy-Żeleński słynie z niezwykłej łagodności dla błędów i słabostek ludzkich. Pobłażliwem, pełnem wyrozumiałości okiem „mędrca“ spogląda na zepsucie i zwyrodnienie. Zdarzają się jednakże w świecie rzeczy tak wstrętne, że na myśl o nich nawet p. Boy traci swój zwykły humor i pogodę umysłu, a wstrząśnięty do głębi jego zmysł moralny wybucha kaskadą świętego oburzenia. Oto pośród członków założycieli Instytutu Literackiego, organizowanego przez dyrektora Funduszu Kultury Narodowej p. Stanisława Michalskiego, znalazło się... troje współpracowników „Myśli Narodowej“ (p. Zofja Gąsiorowska-Szmydtowa, prof. Stanisław Pigoń i Emil Zegadłowicz). „Pomyślcie“: — pisze ze zgrozą p. Boy-Żeleński — „w obecnej chwili ostrych antagonizmów politycznych, w chwili, gdy tyle mówi się o despotyzmie, o terrorze, pan Michalski za pieniądze rządu organizuje jaczejkę endecką“... Pomyślcie tylko ludzie, co za ohyda!.. Skoro dzieją się dziś w kraju rzeczy tak okropne, nawet p. Boy uczuwa w swojem sumieniu nakaz moralny, przedzierzgający go z figlarnego fejletonisty i żartownisia, w surowego, gromiącego zło kaznodzieję...

NAKŁADEM
MŁODYCH OBOZU WIELKIEJ POLSKI
UKAZAŁA SIĘ BROSZURA
JANA REMBIELIŃSKIEGO
DNIEPR I WISŁA
(W DZIESIĄTĄ ROCZNICĘ BITWY POD WARSZAWĄ)
CENA 60 GROSZY

Poczta lotnicza w obrocie krajowym i nadchodząca z zagranicy doręczana jest natychmiast.
KORZYSTAJ
Z POCZTY LOTNICZEJ

OBUWIE
DAMSKIE MĘSKIE i DZIECINNE
na skórzanych i gumowych podeszwach oraz balowe, poleca w dużym wyborze wyroby własne
W. Dobrzyński
CHMIELNA Nr. 18. — Egzystuje od r. 1897

NAKŁADEM TOW. WYD.
„PATRIA"
SPÓŁDZ. Z OGR. ODP.
WYSZŁY KSIĄŻKI:
Joachim Bartoszewicz
ZAGADNIENIA POLITYKI POLSKIEJ
Wstęp. — Państwo narodowe. — Ustrój federacyjny — Republika-monarchja. — Ustrój władz. — Sprawa mniejszości.—Terytorjum i granice.—Polski patrjotyzm.
CENA 3 ZŁ.
Zygmunt Wasilewski
PIEŚŃ W GÓRACH
Przedmowa. — Do słońca. — U źródeł. — Tragedja muzyka. — Poeci w Tatrach. — Na wyżynach kultury.
CENA 5 ZŁ.
Jan Gwalbert Pawlikowski
SPOŁECZNO - POLITYCZNE IDEJE SŁOWACKIEGO W DOBIE MISTYCYZMU
CENA 4 ZŁ.
Skład główny w księgarni Ossolineum w Warszawie Nowy-Świat Nr. 69.

TOWARZYSTWO AKCYJNE
CUKROWNI
„CIELCE"
Poczta i telegraf WARTA, ziemi Kaliskiej
Stacja kolei BŁASZKI
BIURO ZARZĄDU:
Warszawa, ulica Boduena Nr. 1
TELEFON 61.

TREŚĆ:

Adres Redakcji: Marszałkowska 153, tel. 625-45. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr. 17, 2-gie piętro. Tel 612-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. 9, półrocznie zł. 17, rocznie zł. 32, zagranicą kwart. zł. 12, półroczn. zł. 24, rocznie zł. 45.
Konto czekowe na P. K. O. 3.105.

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI. Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELIŃSKI.

Druk. Koop. Prac. Drukarskich. Tel. 19-57. Zielna 47. PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM.